

MANUELA GRETKOWSKA

MY ZDIES' EMIGRANTY

mojej żonie

Szanowna i Droga Pani,

Przeczytałem „My zdieś emigranty” z dużą przyjemnością i zainteresowaniem, ciesząc się, że wbrew prawdopodobieństwu mogę czuć to samo co ludzie Pani pokolenia.

Ale mam i uwagi krytyczne. Czyta się i chce się jeszcze, czyli zostaje jakiś niedosyt. Bo jednak książka jest nieduża, w tradycji, jakoś przyjętej przez polską prozę, wydawania kiedy uzbiera się 100-150 stron. Raczej bym ją rozszerzył i rozbudował, wcale nie odchodząc od (dobrej) formuły. Wątek Marii Magdaleny oczywiście mnie żywo obchodzi (choć rozczarowała mnie wystawa we Florencji parę lat temu - przeważnie rzeźby starej wyschniętej Magdaleny - pokutnicy). I ten trop - Sophia, Diana, Malkuth b. ciekawy, jednakże, ponieważ jest prowadzony chaotycznie, może, na czytelniku mało obeznanym z tą tematyką, robić wrażenie wtrętów dla ozdoby czyli stylistycznych wstawek, bo ostatecznie nie chodzi o to, że coś kojarzy się z czymś (albo wszystko ze wszystkim), tylko o jakiś obraz wyobraźni religijnej, nie do otrzymania jeśli stulecia i geograficzne obszary są zbite i zagęszczone w jakby cegielkę. Rozumiem trudność. Przecie nie chce Pani pisać jakiejś dysertacji. Ale może jakiś sposób rozdzielenia wątków znalazłby się.

Szczerze Pani wieszuję daru pisania, że jest Pani naprawdę alive. Ortografia chwilami tylko szwankuje, co spotyka się u wielu wychowanków Polski Ludowej.

Z najlepszymi życzeniami

Czesław Miłosz

Jesień 1988

Mabillon. To obiady dla studentów. To najsmakowitsza stacja metra. Ruchomymi schodami powoli w górę, a potem powolutku przesuwanie się w kolejce i nakładanie na tacę: sałaty, sałatek, sekwiczanki z kranu podanej w wytwornej karafce, deserów, i jeszcze deserów, aż kucharz w olbrzymiej białej czapie nie wskaże chochlą mojej tacki: - *Mademoiselle, qu est-ce que c'est?*

Oczywiście, że wzięłam za dużo, ale jak wybrać pomiędzy deserem czekoladowym a bananowym. Nie, nie oddam.

- *You are wrong, Monsieur.*

- *Pourquoi?*

- *I'm madame, no mademoiselle.*

I macham mu przed oczyma obrączką. Roześmiał się, a szlaban chochli spada już na inną tacę. Taki obiad kosztuje 10 franków, wart jest chyba jeszcze mniej. Za oknem powiewa francuska flaga, czy taka flaga powiewałaby za 10 franków? A ja mam za te dziesięć franków nie tylko chodzić, ale i myśleć. Myśleć chociażby o tym, czemu nie zostałam kilka tygodni temu przesiedleńcem niemieckim.

Papiery mam, jak każdy z lewej strony Wisły, w porządku - jakiś dziadek czy stryjek w Wermachcie. Za dokument potwierdzający niemieckość wystarczy nawet zaświadczenie szczepienia wydane przed 8 maja 1945. W Berlinie Zachodnim jest biuro z kartotekami Wermachtu i po sprawdzeniu autentyczności papierów dostaje się kategorię przesiedleńca: zasilek, mieszkanie ftp.

Zastanawiając się nad swoją niemieckością, przypomniałam sobie o jednym z dalszych wujków, który miał fabryczkę w Łodzi na Wierzbowej, potem miał syna. Po wrześniu 39 ten syn został SSmanem. Wyjechali, mówiąc delikatnie, bo to była ucieczka, na początku 45 roku. Inna część rodziny, nie spokrewniona z łódzkimi fabrykantami, wyjechała w 68. Więc równie dobrze mogę być Żydówką. Najmłodsze pokolenie, czyli ja, wyjechało w 88. Nie był to rok polowania na Polaków. Był to po prostu kolejny rok w PRL i stwierdziłam, że następny rok w kraju byłby nie do zniesienia. Tylko tyle.

Nie mam ochoty zostać Niemką i tłumaczyć, że mówię tak źle po niemiecku, gdyż już w dzieciństwie prześladowano mnie na ulicach Torunia za posługiwanie się mową ojców i dziadków. Jeśli się okaże, że we Francji mieszkać nie mogę, to trudno, pojedę do RFN.

Na naukę hebrajskiego i zostanie Żydówką jestem za stara. Poza tym wierzę w fałszywego Mesjasza i - niestety - wygląd odziedziczyłam po aryjskich przodkach. Że nie nadaję się na Żydówkę, stwierdził też Andrzej. Przypadkowo stał się ekspertem w tej kwestii. Przyjechał do Austrii na początku listopada. Przeleżał kilka nocy na trawniku przed jakimś już zamkniętym dla

Polaków obozem. Być może innych męczyłoby takie wyczekiwanie, ale Andrzejowi trawnik zastępował łóżko szpitalne, gdyż przyjechał chory - temperatura prawie 40 stopni - po skomplikowanym wyrwaniu zęba. Było mu całkowicie obojętne czy próbują go nocą okraść Arabowie, czy nad ranem wygonić kopniakami policjanci. Po kilku dniach tego alpejskiego Davos ozdrowiał na tyle, że przypomniało mu się o czymś takim jak Amnesty International, która to instytucja zaliczyła go kiedyś w poczet swoich podopiecznych. Po kilku dniach dostał pokój w hotelu i spokojnie czeka na bilet do Kanady. W Wiedniu spotkał górników ze Śląska na tyle zdeterminowanych brakiem pieniędzy, że zdecydowali się wstąpić do Armii Izraelskiej, bo słyszeli gdzieś o naborze. Andrzej, znający język angielski, został wydelegowany do ambasady izraelskiej, aby uzgodnić warunki przyjęcia, Czy - w gwarze wojskowej - zaciągu nowej siły. Ślązacy czekali cierpliwie przed ambasadą, gdy oburzony dyplomata izraelski tłumaczył Andrzejowi, iż Armia Izraelska jest armią narodową a nie Legią Cudzoziemską. No, ale jeśli ci panowie są Żydami, to...

- Nie proszę pana, nie sądzę. Nie wyglądają na Żydów.

Dyplomata jednak dyskretnie popatrzył zza firanek na niefortunnych ochotników i potwierdził zdanie Andrzeja: - Rzeczywiście, cóż, bardzo mi przykro...

Tak więc Andrzej też ocenił, że bez mocnych papierów, na sam wygląd trudno mi będzie zostać Żydówką.

Widocznie tak chciała opaczność historyczna i pewnie jeszcze by chciała, żebym za długo nie posiedziała w Paryżu. Oświadczyła to na piśmie i podsunęła mi tę wiadomość pewnego pięknego listopadowego dnia. Szłam wzdłuż bulwarów nad Sekwaną, podziwiając Notre Dame w naturze i na pocztówkach porozwieszanych wśród straganów bukinistów. Pomiędzy obrazkami było trochę książek. Przeglądałam co poniektóre zetłałe romansidła dziewiętnastowieczne, aż trafiłam na piękne wydanie Nostradamusa. Otworzyłam przepowiednię na fragmencie głoszącym, że: „...wielkie miasto z metalową wieżą pęknie na pół...” Wszyscy sądzą, że Nostradamus miał na myśli Paryż z wieżą Eiffela, ale czy można tak biernie poddać się wyrokowi przepowiedni i czekać na najgorsze? Trzeba coś zrobić albo chociaż pomyśleć, pomyśleć, że jest już miasto z ogromną wieżą telewizyjną na Alexander Platz, miasto pęknięte na Berlin Wschodni i Zachodni. A więc Paryż jest uratowany! Ocalałam Paryż.

Uspokojona tym rewelacyjnym odkryciem schodzę do metra mijając bluesową kapełę, dziewczynę grającą na flecie barokowe koncerty. Najwięcej ludzi stoi wokół Murzynów wybijających niesamowite rytmy na bębnach, pudłach i chyba ścianach metra.

- Jak sądzisz, po co oni tak bębnią?

- No, dla pieniędzy, dla przyjemności.

- Nie, oni to, moja droga, robią tylko dla pieniędzy. Popatrz kto ich słucha, kilku białych, a reszta to Murzyni. Bo ci, co bębnią, bębnią na pewno szyfrem i przekazują innym czarnym

informacje, że dziś na przykład pracę można znaleźć na Duroc, albo że banany są najtańsze na Marche Dupleix i inni Murzyni rzucają im za to do czapki pieniądze. Teraz będzie moja stacja, wysiadam, a ty idziesz pod ambasadę, prawda?

Ty-ty idziesz na spotkanie z księciem, a ja-ty pod ambasadę rumuńską zobaczyć manifestację przeciwko Ceausescu. Wiem, że jak zwykle wiecujący zostaną poproszeni o przesunięcie się kilka ulic dalej od ambasady, co natychmiast uczynią. Ciężarówka CRSu (w Maju 68 krzyczano CRS - SS) będzie stała ku ozdobie, bo policja nie ma powodu przeszkadzać grupie starszych ludzi, którzy zebrali się, aby pokrzyczeć: Ceausescu morderca! Komuniści mordercy!

Pod ambasadą było kilku Polaków, wyróżniał się wśród nich starszy dostoyny pan trzymający flagę polską, ozdobioną napisami Solidarność i KPN. Nie wiem dlaczego, od czasu do czasu postukiwał tą polską flagą o flagę rumuńską, radośnie pokrzykując: Polak - Węgier dwa bratanki! Obok Polaków stali Niebiescy Khmerowie z Kambodży, tłumaczący wszystkim chętnym, że nie mają nic wspólnego z Khmerami Czerwonymi, zwolennikami Pol-Pota.

Kiedy wiecujący zaczęli wołać: Zjednoczona Europa bez Moskwy! Rosjanki z transparentem Rosyjskich Niezależnych Związków Zawodowych zaczęły się rozglądać niespokojnie nie wiedząc, czy mają krzyczeć to co inni, czy też udawać, że nic nie rozumieją.

Zrobiło się ciemno i zimno, zaczął padać deszcz. Próbowałam rozweselić Rosjanki, wołając do nich - *Freedom for Dracula* - ale dziewczyny były już bardzo obrażone. Zwinęły transparent i postanowiły pójść do domu. Na ich miejsce przyszli integryści francuscy, niosąc piękny sztandar: biały krzyż na tle lilii andegaweńskich. Na sam koniec imprezy zjawili się monarchiści, lecz stronili od tłumu, trudno więc było się rozeznaczyć, czy byli to zwolennicy dynastii bourbońskiej, czy też poplecznicy Hrabiego Paryża.

Odchodząc spod ambasady wzięłam gazetkę rumuńsko-francuską z prześlicznym rysunczkiem:



Więcej nie pamiętam.

Zima 1988

Na początku nic. Rozbity wazon. Ona stoi, a potem cała we krwi. Na czole rana, dziura prawie. Krew płynie i płynie. Patrzę na samochód i nic, no nie możemy nim jechać do szpitala. Mówię jej połów się, albo co, głową w dół, to może krew wpłynie z powrotem do tej dziury w czole, bo nie możemy jechać samochodem, dzisiaj niedziela i zakaz dla nieparzystych numerów... No nic nie zrobię, ta krew płynie, a ona coraz bledsza. Idziemy pieszo przez pół Bukaresztu do szpitala. Rana zasycha, krzepnie. Zanim doszliśmy, był prawie strup, a potem blizna. Duża blizna na czole w kształcie litery C. Jak Ceausescu i ta blizna przez niego, przez niego, przez niego.

- Uspokój się Konstantin, spokojnie, no już spokojnie - próbujemy mu wcisnąć w rękę szklankę wina. Ale Konstantin nadal wymachuje fotografią swej bladej, czarnowłosej żony i pokazuje palcem bliznę na jej czole. Oglądamy zdjęcie, kiwamy głowami, rzeczywiście wyraźnie widać C.

Siedzimy na podłodze. Rumuni, Bułgarzy, Czech, Polacy, wokół coraz więcej niedopałków, pijemy herbatę, wino i jest nam tak dobrze, bezpiecznie razem. Nikomu z nas nie chce się wyjść z tego ciemnego pokoju w foyer dla emigrantów, chociażby na korytarz i spotkać tam Kambodżańczyka o urodzie Pitekantropa, przeżywającego ciągle na nowo bombardowanie i gwizdaniem naśladującego atakujący samolot. Druga osoba, na którą można się natknąć na korytarzu to chyba były więzień jakiegoś południowoamerykańskiego reżimu chodzący w kółko, jak w czasie spaceru na karniaku.

Lepiej więc zostać w pokoju między swoimi i słuchać Wojtka, który wyjechał z Pragi, bo tamy *zivot docela jednoduchy, aie duchovné je težky*. Wszyscy doskonale rozumiemy, że ten żywot w Czechosłowacji duchovné je težkij i nikt nie zadaje głupich pytań, dlaczego je težkij. A Francuzi by pytali. Pytali nawet Rumuna Kovera, dlaczego metro przestało jeździć, ich własne paryskie metro. Kover odpowiedział, że jest strajk, czytał o tym w gazecie.

- Jaki strajk, wypadek na pewno, a nie strajk.
- Strajk, upierał się Kover.
- Eee tam, pan cudzoziemiec, trzeba się spytać kogoś innego.

Kover poczuł się obrażony i twierdzi, że tępoty Francuzów nie usprawiedliwia ani Rewolucja Francuska, ani szalejące tu niegdyś choroby weneryczne, ani nic. Po prostu są tępi i nie ma sensu wprowadzać ich w tajniki działania komunizmu, skoro nie pojmują nawet swojej tak prostej i jawnej demokracji.

Przecież uznaliby mnie za paranoika - mówi Kover - gdybym im powiedział, że trzęsienie ziemi w Armenii było sztucznie wywołane. Po co pacyfikować republikę za pomocą Armii Czerwonej, jak można uspokoić rebeliantów inną metodą. Miejsce i czas klęski tak świetnie

dobrane, że rozumując logicznie nie można dojść do innych wniosków. Gorbaczow wyjechał wtedy za granicę, żeby móc zrzucić winę na twardogłowych, gdyby coś się nie udało. Kilka miesięcy później było trzęsienie ziemi w NRD i doszło aż do Frankfurtu nad Menem. Oczywiście, rzecz z punktu widzenia geologii niemożliwa, więc po sześciu godzinach NRDowcy wytłumaczyli, że była to seria niekontrolowanych wybuchów w kopalni potasu. Ale cóż prostszego jak potrząsnąć Frankfurtem i miastami Zachodu w czasie wojny.

Można skojarzyć też inne fakty. Na pokazach lotniczych w Paryżu coś się zepsuło w radzieckim myśliwcu. Pilot się katapultował, samolot przeleciał jeszcze kawałek i wybuchnął. Pokazywano w telewizji ten wypadek chyba dwadzieścia razy, aż wszyscy zapamiętali, że rosyjskie samoloty, mimo że mogą lecieć bez pilota, są niedoskonałe i się psują. Miesiąc później przelot sowieckiego myśliwca aż do Belgii nie zdziwił nikogo. Naturalnie, że to jeszcze jedna awaria samolotu a nie test. Jak Zachód zareaguje na atak Rosjan.

Oczywiście Kover ma rację. Przedyskutowaliśmy trzęsienie ziemi w Armenii i rosyjskie myśliwce już chyba ze sto razy w naszych niekończących się rozmowach o polityce, o komunizmie i o tym jak skończy ten świat, bo że wszystko zbliża się ku końcowi nikt z nas nie wąpi. Głupota i zło panują nad światem, a my, biedni emigranci przeczuwający upadek Zachodu, nie możemy znaleźć pracy. Pracy w miarę dobrze płatnej, niewyczerpującej, no w ogóle pracy. Niestety dobre, ciepłe posadki zanikają. Nie ma już od kilku wieków profesji takiej jak *croque-mort*. Nie była to może praca fascynująca, ale pożyteczna i nieciężka. *Croque-mort* gryzł zmarłego. Dokładniej gryzł go w piętę. Jeśli ugryziony nieboszczyk poruszył się - znaczyło, że to nie nieboszczyk, jeśli gryziony nie reagował, było jasne, że to nie letarg a na wieki wieków spoczynek wieczny.

Prawdopodobnie rzemiosło *croque-mort* wymagało jakiegoś talentu. Ludzie z talentem zawsze znajdują sobie pracę, na przykład Michał - człowiek utalentowany, skończył ASP w Krakowie i rzeczywiście maluje świetnie. Przywiózł swoje abstrakcyjne obrazy do Paryża i próbował je sprzedać w galeriach. Nie kupiono od niego jednak żadnego płótna. Ustawił więc wszystkie swoje dzieła nad Sekwaną i siedział tak przy nich tydzień. Zostało mu dwadzieścia franków oraz myśl o smutnym powrocie do Polski. I zobaczył wtedy na wysokości swego nosa lśniąca aktówkę w zadbanych, upierścienionych dłoniach. Jakiś zamożny człowiek oglądał uważnie jego obrazy.

- Pan to namalował? - zapytał wskazując obraz przedstawiający żółte plamy.
- Tak, jestem malarzem.
- Z dyplomem dobrej szkoły? - pytał dalej zamożny człowiek.
- Jak najbardziej.
- To ja pana kupuję.

Michał nie był pewien swojej francuszczyzny.

- Jak to mnie? Pan jest marchandem, prawda?

- Zgadł pan, jestem marchandem sera. Najlepszego na świecie sera szwajcarskiego. Patrząc na pana obrazy wpadłem na pomysł, żeby ściągnąć klientów nie smakiem, kolorem, wymyślnym opakowaniem - bo to wszystko już było, ale czymś naprawdę wyrafinowanym: doskonałością form i kompozycji dziur w serze.

W ten sposób Michał został projektantem dziur i zamieszkał w Szwajcarii. Zarabia wspaniale, więc może sobie pozwolić na częste wydawanie przyjęć. Zrobienie takiego przyjęcia to już osobna sztuka, do której Michał nie ma talentu. Zapraszając bowiem znajomych trzeba pamiętać, że niektórzy są wegetarianami, inni jadają mięso, ale tylko kosherne, a jeszcze inni jadają nawet nie kosherne, byle to nie była wieprzowina, a ktoś z tego samego towarzystwa uwielbia golonkę.

Michał nie rozróżnia tych subtelności, kupuje owoce i mięso według niego smaczne oraz dobrej jakości. Najważniejsze są i tak na takim przyjęciu rozmowy, nawet te zasłyszane: - Siedziałam w kawiarni, a obok mnie dwie Niemki opowiadały sobie taką historię: - Jakaś ich znajoma pojechała do Francji na wakacje, poznała tam bardzo sympatycznego Amerykanina. Wielka miłość i te rzeczy.

On na rozstanie dał jej paczkę prosząc by otworzyła ją dopiero w Kolonii. Ona zajrzała do paczki już w samolocie. W paczce były przywiązane do siebie sznurkiem zdechły szczur i szczurzyca a obok karteczka: Witamy w klubie AIDS.

- Niezłe, co? Wyobraźcie sobie psychikę tego faceta, bawi się zakochaną panią i wie, że za kilka lat ona umrze, a może dziewczyna też komuś wyśle szczurze pozdrowienia.

- Przestańcie, takie świństwa, o szczurach przy jedzeniu - zaczął skarżyć się Daniel.

- Jak masz jakieś wstręty, to nie z powodu szczurów, a dlatego że jesz szynkę. Ona ci szkodzi, ty jej genetycznie nie trawisz. Bierz przykład ze swoich przodków i odstaw ten nieczysty pokarm Danielu.

- Odczep się Jasiu, mówisz jak rabin, może jesteś Żydem?

- Jeszcze nie.

- Co to znaczy: jeszcze nie?

- Jeszcze nie, bo słyszałem o takich, co już Żydami zostali; na przykład Krzysztof Kolumb. Według jednych był Genuńczykiem, według innych Hiszpanem, aż w końcu został Żydem. *It* by się nawet zgadzało. Nazywał się Colombo, czyli gołąbek, a jakiego ptaka wypuszczał, Noe gdy szukał nowej ziemi na zamieszkanie? Oczywiście gołąbka. U Żydów każde imię ma swoje znaczenie. Ale to są filozoficzne rozważania.

Faktem jest, że Kolumb był w którymś pokoleniu przechrztą, marranem. Poza tym wystarczy skojarzyć pewne wydarzenia: Kolumb wypłynął na poszukiwanie Nowej Ziemi

(podobno wiedział doskonale dokąd płynie, gdyż miał mapy na których była zaznaczona nowa Ziemia Obiecana) trzeciego sierpnia wczesnym rankiem. Natomiast drugiego sierpnia ostatni Żydzi na rozkaz cesarza rzymskiego musieli opuścić Ziemię Świętą. Przypadek? Być może, tak jak i to, że 12 X 1492 czyli 21 tishri w kalendarzu żydowskim, w szósty dzień święta Sukkot a więc w dzień Hochannach Rabah dotarł Kolumb do wyspy. Jak ją nazwał? To proste - *Hochannach* znaczy zbaw nas - a więc wyspa nazywa się Święty Zbawiciel - *San Salvador*. Ciekawe jest florenckie wydanie „Listów o wyspach odkrytych przez króla Hiszpanii” z roku 1493. Ilustracje tej książki były robione według wskazówek Kolumba. Co widział Kolumb w odkrytej ziemi obiecanej? Drzewo, bardzo dziwne drzewo, bo przypominające raczej świecznik siedmioramienny czyli *menorah*. Na tym samym obrazku narysowany jest król w płaszczu ozdobionym wyraźnie hebrajskimi literami i wskazujący ręką nie na Zachód, ale na Wschód czyli tam gdzie znajduje się Eden, Ziemia Obiecana. Tajemniczy monarcha nie musi być oczywiście Dawidem z rodu którego narodzi się Mesjasz. Trawy i roślinność u stóp króla układają się w litery *szin* i *het*. Interesująca jest chmura unosząca się nad drzewem, królem, trawami. Wygląda ta chmura dokładnie tak:



i kojarzy się raczej z głową brodatego człowieka, według mnie Mojżesza, trzymającego kamienne tablice na tle gór. Widać wyraźnie nos, oko, a w tych górach można się dopatrzeć i Syjonu, i Hebronu - jak kto woli. Z głowy Mojżesza wychodzą jakby promienie, promienie Chwały Bożej. Nie są to rogi na czole Mojżesza, jak rzeźbił to Michał Anioł. Malowano, rzeźbiono rogi a nie promienie, bowiem hebrajskie *keren* oznacza zarówno promienie światła, jak i rogi, popełniono po prostu mały błąd w tłumaczeniu Wulgaty, zastępując promienie rogami. Wracając do Kolumba, można do...

Wiosna 1989

Najciekawsze w telewizji francuskiej są reklamy, a właściwie zgadywanie, co jest reklamowane. Jeśli rozebrana panienka przeciąga się rozkosznie na perskim dywanie i polewa perfumami, to nie znaczy, że popadła w stan ekstazy wachając Chanel nr 5 czy ocierając się o ten wspaniały dywan. Euforię panienki wzbudził przytulany do twarzy delikatny, pachnący, niemalże czuły papier toaletowy. Jeśli natomiast pokazują jakiś fragment opery Verdiego, to na pewno reklamowany będzie krwisty befszyk. Dlaczego? Nie wiem, ale jest to ładne, zaskakujące i kolorowe. Nieraz dowcipne jak Apokalipsa - chatkę uciekinierów, gdzieś w syberyjskiej tajdze, otaczają krasnoarmiejcy. Wyważają drzwi, okna, wpadają nawet przez komin. Scenkę pointuje stwierdzenie: Rosyjski gaz wedrze się wszędzie! Przyjacieli, zasiedziały już we Francji, oglądając tę

reklamą doszedł do wniosku, że niedługo zobaczymy jak Chagall zachwala wycieczki do Czarnobyli albo nad Kanał Białomorski.

- Co ty mówisz - zdziwiłam się - przecież Chagall nic żyje...

- No to co z tego, tym lepiej, zapłacą mu jeszcze więcej! A w ogóle to wyłącz ten telewizor, bo mnie denerwuje i w ogóle Francja mnie denerwuje. Gdyby ta cała Francja była w Polsce, to by ją ludzie docenili. A tak, Francuzi jedzą, piją i myślą jedynie o jedzeniu i picciu. Żadnych problemów. Wszystko jak te reklamy - łatwe i bez sensu. Nawet jeden ksiądz, żeby ułatwić Francuzom życie, wpadł na pomysł spowiadania przez minitel. Inni faceci chcieli zrobić referendum wśród katolików, czy można stosować antykoncepcję. Papież się oczywiście nie zgodził na takie głosowanie, więc podnieśli krzyk, że w Kościele nie ma demokracji i że Kościół jest totalitarny. Ale to nie tylko chodzi o religię, ale o wszystko. Powiem ci coś, o czym mało kto wie, mimo że to prawda ważna, najważniejsza, żeby zrozumieć co tu się dzieje. Widzisz - porównując Francję z Polską, to Francja jest niższą kulturą, tyle że na wyższym poziomie rozwoju. Dlatego Polacy traktują Francuzów jak dzieci, podziwiając jednocześnie Francję. Rozumiesz?

- Aha. Może byś się jeszcze wina napił? - podsunęłam mu kieliszek.

- A jakiego?

- Jak chcesz to greckiego albo włoskiego.

- Daj greckiego, to ci coś jeszcze opowiem. Byłem dwa lata temu na wakacjach, gdzieś koło Aten. Któregoś wieczoru wracałem z kumplem na camping. Szliśmy poboczem szosy. Zza zakrętu wyjechał rozklekotany motor i podjeżdża prosto do nas. Zsiada z niego dwóch wytatuowanych, zarośniętych facetów w łachmanach. Wyglądali na marynarzy. Ciekawy byłem w jakim języku zagadają, a oni pięknie po rosyjsku pytają czy jesteśmy Polakami. Kiwamy głowami, że tak. No to, pytają dalej, czy mamy wódkę na sprzedaż. Niestety, już nie mieliśmy.

- *Wy Paliaki?* - zważyli.

- No Paliaki, Paliaki, ale wódkę już wypiliśmy. Co wy tu jednak robicie, czy się nie pomyliliście?

- *Kakszto, kak. My zdjes' emigranty* - z urażoną dumą odpowiedział matros, po czym wsiedli na rozlatujący się motor i odjechali.

- Nie sądzisz chyba, że tym Rosjanom których spotkałeś w Grecji jest aż tak źle? - zapytałam. - Przecież jeździ tam dużo Polaków i zawsze mogą kupić od nich wódkę, gdy poczują nostalgię. Mój znajomy, monsieur Wong, ma zupełnie inne kłopoty. Musiał uciekać z Kambodży, gdyż był policjantem jeszcze za księcia Sihanouka i, mimo że, jak twierdzi, jest buddystą, robił komunistom ciach. To ciach monsieur Wong pokazuje przeciągając znacząco po gardle.

Wraz z synkiem przedzierał się przez dżunglę do Tajlandii. Z jego grupy uciekinierów uratowało się tylko kilka osób - reszta trafiła na wietnamskie patrole albo minowe pułapki. Jednak

mimo niełatwego życia monsieur Wong jest zawsze uśmiechnięty, chociaż raz zdradził mi, że coś go trapi. Nie jest to naturalnie kłopot na tyle wielki, by przestać się uśmiechać, ale jest to pewien problem. Otóż monsieur Wong lubi psy, a psy są we Francji bardzo drogie. Powiedziałam mu, że mogę poprosić kogoś, kto przyjeżdża z Polski, aby przywiózł pieska: wilczura, pudla czy pekińczyka. W Polsce psy są dość tanie, a kundla można dostać nawet za darmo. Monsieur Wong był wzruszony moją propozycją i upewniał się, czy kundel jest dużym psem, bo z małym jest zawsze dużo roboty. Zgodziłam się z nim, że małe pieski mają z reguły długą sierść i trzeba im poświęcać więcej czasu.

- Owszem - przytaknął monsieur Wong - trudno taką sierść wyskubać.
- Po co wyskubać? Nie lepiej obciąć?
- No tak, najpierw obciąć, potem wyskubać, a na końcu opalić.

I to był moment, gdy zaczęliśmy się rozumieć. Monsieur Wong pojął, że nigdy nie przyrządzałam psa, a ja zrozumiałam, dlaczego monsieur Wong marzy o psie. Przepis na psa okazał się prosty. Trzeba wziąć psa, najlepiej dwu- trzyletniego i zanurzyć mu głowę w wiadrze z wodą. Po utopieniu odcinamy mu łeb, pazury i ogon. Potem skubimy i opalamy jak kurczaka nad ogniem. Pieczeń z psa jest podobno wyśmienita. Kot też jest dobry, ale mniej smaczny niż pies i nie nadaje się na danie świąteczne. Tak więc różnimy się z monsieur Wongiem gustami kulinarnymi, ale poza tym rozumiemy się znakomicie.

Nie mogę natomiast zupełnie zrozumieć mentalności moich sąsiadów zza ściany. Przyjechali z Peru do Francji przed trzema laty. Francuski znają słabo, uczą się natomiast rosyjskiego, zwłaszcza ona, i nie mówi nigdy po francusku *Moscou*, ale *Maskwa* z takim hiszpańskim akcentem. Ta ich *Maskwa* to marzenie, to cud. Cała szlachetność świata w tej *Maskwie*. Na pytanie, dlaczego mieszkają w burżuazyjnym Paryżu, a nie w *Maskwie*, coś tam odburkną i znowu mówią o geniuszu Trockiego albo Lenina.

On leży całymi dniami na łóżku patrząc w sufit, myśli pewnie o swych towarzyszach ze Świetlanej Ścieżki.

Mój drugi sąsiad - Hassan Rastman - jest afgańskim fundamentalistą i Peruwiańczyków w ogóle nie zauważa. Mówi im tylko *Bonjour* i ani słowa więcej. Jednak pewnego razu zrobił rzecz niewiarygodną, zapukał do ich drzwi i powiedział całą długą kwestię patrząc gdzieś w bok albo na podłogę:

- Przepraszam, ja nie przyszedłem do państwa, ja przyszedłem po moją przyjaciółkę.

Bo właśnie siedziałam u Świetlanej Ścieżki słuchając wykładu o konieczności rewolucji ludowej. Wyszłam z Rastmanem na korytarz i pytam, co mu się stało. Afgańczyk zamachał gazetą i mówi:

- W Odeonie grają ten film, o którym opowiadają wszyscy Polacy. „Le Complot - Zabić księdza”. Musimy to zobaczyć.

- Rastman, widziałam ten film dwa razy, idź sam.

- Co? Sam? Już nie pamiętasz, kto ci tłumaczył wszystkie programy z Afganistanu, jakie to miasto i jaki oddział mudżahedzinów. A gdzie przyjaźń polsko-afgańska? Płacę za twój bilet, idziemy.

W kinie było z dziesięć osób. Usiedliśmy w pustym rzędzie, żeby rozmawiając nikomu nie przeszkadzać. Rastman zapytał tylko, czy miasto, które pokazują to naprawdę Warszawa. Po seansie wracaliśmy do domu pieszo przez Saint-Germain.

Rastman oczywiście pochwalił film, ale przyznał że jednego w nim nic rozumie. Dlaczego, gdy policja podrzuciła broń Solidarności, zrobiono z tego aferę. W Afganistanie broń trzeba kupować od znarkotyzowanych Sowieców albo zdobywać w walce. Czemu w Polsce komuniści dają broń opozycji za darmo? Tłumaczyłam mu, że w Polsce jest zupełnie inna sytuacja niż w Afganistanie i tak dalej, czego Rastman słuchał chyba tylko z grzeczności, bo w końcu zaproponował: - Wiesz, ja nauczę cię strzelać. Kupisz sobie pistolet i może kiedyś ci się przyda.

- Ty umiesz strzelać? Przecież zawsze mówiłeś, że jako student farmacji leczyłeś w górach rannych.

- Nic żartuj - Rastman się niemal obraził. - W Afganistanie każdy mężczyzna umie posługiwać się bronią.

- Ale ja tak szybko do Polski nie wrócę, to może kupimy ten pistolet później?

- Nie, nie. Tak czy inaczej trzeba się szkolić w strzelaniu, jak ma się jakikolwiek kontakt z komunistami, a komuniści są nawet we Francji.

Odłożyliśmy naukę strzelania na później, gdy kupię już pistolet. Mam nadzieję, że Rastman zapomni o swym pomysle. Nie mam zamiaru wydawać kilkuset franków na jakieś żelastwo, z którego ani ja, ani nikt inny nie zrobi w Polsce użytku, nie mówiąc o kłopotach przewiezienia broni przez granicę.

Wchodząc do domu znalazłam na schodach podartą gazetę, chyba „Le Figaro”, z taką oto notatką: „...Słońce zachodzi dzisiaj o 17.58”. Już zaszło.

Maj 1989

Należę chyba do niewielu osób, które miały pecha dwa razy zdać egzaminy na sztuki piękne i za każdym razem zrezygnować z tych zapewne przyjemnych studiów. Pierwszy raz zdawałam do szkoły w Toruniu. Egzamin trwający tydzień był dość męczący: trzy dni solidnego akademickiego rysunku, dwa dni malarstwa olejnego i egzamin teoretyczny czyli wypracowanie z historii sztuki, a potem pytania rodzaju: co było namalowane w grocie Lascaux albo proszę wymienić

współczesnych architektów polskich. Do tego wszystkiego w czasie przerw atmosferka hysterii: Ja już podchodzę trzeci rok i mówię wam: wszyscy, którzy zdają to po znajomości.

Po sprawdzeniu na liście, że zdałam, zaczęłam kupować pędzle, farby, blejtramy by zacząć w październiku tworzyć dzieło na miarę Matejki. W czasie wakacji okazało się, że dostałam paszport i trzeba wyjechać do Francji. Co było robić we Francji? Oczywiście znowu zdawać na sztuki. Wybrałam szkołę niedaleko Paryża, podobną do toruńskiej czyli przeciętną. Egzaminy dzieliły się, tak jak w Polsce, na dwie części: pierwsza część teoretyczna i druga praktyczna.

Egzamin praktyczny polegał na przekonaniu komisji, że ma się twórczą osobowość. Profesorowie chodząc między salami oglądali dzieła kandydata i wysłuchiwali jego zwierzeń artystycznych. W informatorze dotyczącym egzaminu praktycznego pan dyrektor zachęcał zdających do prezentacji swej twórczości, niekoniecznie plastycznej.

Przyjechałam na egzamin z Rennes (400 km) obładowana teczkami, obrazami, plecakiem. Poszłam obejrzeć dzień przed moją ekspozycją jak sobie radzą tubylcy czyli Francuzi. Okazało się, że nikt nie ma prac olejnych, bo to trudna technika i uczyć się jej będziemy dopiero na studiach. Przeważały abstrakcje, coś w rodzaju graffiti. Właściwie ekspozycje nic różniły się wiele od ścian metra. Jeden ze zdających w momencie decydującym, czyli wkraczania komisji, zaczął krzyczeć, że nikt nie jest godzien oglądania jego akwareli, a na pewno nie profesorowie akademicy i zatrzasnął drzwi. Profesorom to się spodobało, zaczęła się przepychanka, pertraktacje, w końcu pozwolił im wchodzić pojedynczo. Pokazywał obrazek a następnie go darł, pakował do koperty i wręczał jako pamiątkę. W innej sali skąpo odziana dziewczyna ustawiała się w różne pozy śpiewając przy tym własne poematy. Obejrzawszy te ekspozycje postanowiłam także przypodobać się komisji poprzez sztukę, którą Francuzi cenią najbardziej - sztukę kulinarną.

Ugotowałam ruskie pierogi, zapakowałam w termos i częstowałam nimi szanownych profesorów opowiadając o tradycji pierogów, a zwłaszcza pierogów ruskich. Zwróciłam uwagę komisji na cykl dwunastu obrazów w kolorze brązu, ciemnej czerwieni o fakturze strupów. Były to autoportrety i autoakty malowane co miesiąc moją własną krwią i zatytułowane „Może kiedyś ta krew zakrzepnie w język i ogon płodu”. Kiedy przewodniczący komisji poprosił o dokładkę z pierogów byłam pewna, że przeszłam część praktyczną egzaminu. W sali obok wystawiał swe prace człowiek neolityczny - strasznie chudy chłopak malujący rękami bizona, konie; fascynujący się sztuką pierwotną i przekonany, że gdy zaczyna malować wcielają się w niego duchy przodków. Ubrany był w brudne szorty, boso, cały pokryty malunkami, będącymi jak twierdził magicznymi znakami pomagającymi mu zdać egzamin.

Część teoretyczna polegała raczej na wyrażeniu własnych emocji i przemyśleń niż na stresującym wymienianiu dat lub stylów. Zaproszono nas do małej sali kinowej, rozdano kartki i poproszono o opisanie kompozycji obrazu, który zobaczymy na ekranie. Jeśli będziemy mieli

jeszcze trochę czasu, to mile byłby widziany zapis wrażeń, jakie wywołuje w nas oglądane dzieło sztuki. Pan dyrektor po wyświetleniu przezrocza dodał, że obraz który właśnie widzimy na ekranie to słynne „Matele” Paula Gauguina.

Przez pół godziny pisałam o barwnych plamach, pierwszym planie, drugim planie, liniach poziomych i skośnych. Zostało mi jeszcze pół godziny czasu. Zdjęłam okulary, by nie przyzwyczajać oczu do wyraźnego oglądania świata. Należę do tych krótkowidzów, którzy nie uznają swego sposobu widzenia za wadę wzroku. Wręcz przeciwnie - okulary są przydatne wyłącznie w kinie; na ulicy czy w domu deformują naturalne spostrzeżenia. Skoro oczy krótkowidza nie mają ochoty odbierać podobnych bodźców nerwowych jak oczy niekrótkowidza, to znaczy, że mają inną wrażliwość i należy ją uszanować. Po prostu organizm krótkowidza w pewnym momencie postanawia rozwinąć swe inne zmysły. Ciągłe noszenie okularów nie poprawia wzroku, a skutecznie uniemożliwia wzbogacenie wrażeń słuchowych, węchowych czy dotykowych. Skoro organizm zaczyna niedowidzieć trzeba tę szansę wykorzystać, a nie biec natychmiast do okulisty i dać sobie wmówić, że jest się dotkniętym wadą czy wręcz iluś procentowym kalectwem.

Moi francuscy znajomi krótkowidze są specjalistami w kupowaniu owoców, bowiem tylko oni potrafią wachając banany lub na pozór miękkie ananasy stwierdzić czy owoc jest rzeczywiście dojrzały, czy też zaczyna już się psuć. Większość krótkowidzów jest idealistami obiektywnymi, nawet jeśli sobie tego nie uzmysławia w kategoriach epistemologicznych. Przyczyna tego jest prosta. Bez okularów trudno zauważyć czy idąca drugą stroną ulicy osoba jest uśmiechnięta, zasmucona, ma podbite oko lub ekstrawagancki makijaż. Czyjś wyraz twarzy, uczesanie są niedostrzegalnymi atrybutami. Krótkowidz pomija je w swojej percepcji, zauważa natomiast istotę jedyną i niepowtarzalną wyróżniającą znajomą osobę spośród przechodniów. Trudno zdefiniować tę istotę, dzięki której zauważa się bezbłędnie w tłumie ludzi kogoś, kogo się dobrze zna, nie widząc wyraźnie ani jego rysów twarzy, ani sylwetki. Po prostu krótkowidz ma tę zdolność postrzegania idei, istoty rzeczy oraz ludzi, jeśli oczywiście nie nosi ciągle okularów.

Pamiętając o tym zaczęłam przyglądać się obrazowi Gauguina na swój własny, krótkowzroczny sposób: trzy szare plamy, dwie jaskrawe plamy, trzy szare punkty. Trzy, trzy dwa. Zaciekawiona tą arytmetyczną regularnością założyłam jednak okulary: Na ławce siedzą trzy kobiety w szarych sukniach, obok nich dwie w sukniach o ciepłych, nasyconych, wręcz jaskrawych barwach. Przed ławką ułożone są trzy kamienie lub jakieś kolorowe punkty. Z prawej strony kompozycję zamyka postać dziewczyny, a właściwie pół dziewczyny przeciętej pionową ramą obrazu. W tle niewyraźne, dalekie postacie męskie, drzewa i chyba jezioro. Kobiety na ławce mają kamienne rysy, przypominają bardziej boginie niż zwykłe śmiertelne istoty. Jedynie dziewczyna (pół dziewczyny) ma wygląd kogoś rzeczywistego. *Matete* znaczy targ, ale nie widać na obrazie ani garnków, ani warzyw - po prostu niczego, czym można by handlować. Zastygłe w hieratycznych

pozach kobiety też nie przypominają targujących się przekupek. O jaki targ więc tu chodzi? Co się na nim kupuje, co sprzedaje? Dlaczego dwie kobiety mają jaskrawe suknie, trzy pozostałe szare i jakby martwe, a dziewczyna przecięta na pół? Krytyk sztuki zadowolony się odpowiedzią, że liczba postaci i ich zróżnicowanie podporządkowane są kompozycji, ale ja wiem, że Gauguin był malarzem symbolistą, a więc ten obraz musi kryć w sobie jakiś symboliczny sens.

Dwie kolorowo ubrane kobiety. Dwie... dwójka symbolizuje element kobiecy. Trójka oznacza element męski. Opozycja tych dwóch elementów na obrazie podkreślona jest jeszcze kolorem: Dwie boginki w żółto-pomarańczowych sukniach i trzy pozostałe w smutnych ciemnoszarych, pozbawiających je kobiecego wdzięku a zbliżających kolorem do niewyraźnie zaznaczonych, także szarych postaci męskich w tle. Na obrazie więc trwa jakaś gra lub walka między tym co kobiece i męskie, a może handel, bo przecież całość zatytułowana jest targ. Skoro kobiety na ławce są zagadkowymi boginiami to może chodzi tu o targ między bogami. Ale co jest jego przedmiotem? Może Gauguin namalował rzecz o którą trwa spór, może chociaż pół tej rzeczy... ależ oczywiście że tak! - Pół dziewczyny.

Tajemnicze boginie rozmawiają więc o dziewczynie. O czym mogą rozmawiać będąc symbolem pierwiastka męskiego i żeńskiego, jak nie o znalezieniu dla dziewczyny odpowiedniego męża spośród postaci w głębi obrazu. Dziewczyna jest bardzo ładna i boginie kobiecości targują się z symbolicznym światem męskim (trójka) o godnego jej urody oblubieńca. Ale dlaczego widzimy tylko pół dziewczyny? Połowa, aby stać się doskonałością jedyńki, domaga się uzupełnienia drugą połową. Uzupełnieniem wiecznej kobiecości jest męskość. Czyli rzeczywiście dziewczyna jest już w wieku, w którym czas znaleźć jej męża. Być może dziewczyna modli się do swych bogów i obiecuje im ofiarę z kwiatów, owoców jeśli los ofiaruje jej wymarzonego mężczyznę. Taki paniński targ: Wielka Bogini daj mi męża, a ja w zamian zapalę ci najwonnejsze kadzidła i ofiaruję mój najpiękniejszy naszyjnik z pereł. Bogini Matka skruszona takim prezentem targuje się ze światem bóstw męskich o narzeczonego dla swej pięknej podopiecznej. Targ, *Matete*.

Po egzaminie poszłam do księgarni obejrzeć album Gauguina. Pod reprodukcją „Matete” znalazłam informację, że inspiracją do tego obrazu była egipska Stella z czasów Starego Państwa przedstawiająca boginie płodności i śmierci. A więc moje intuicje w jakiś sposób się potwierdzają.

Dwa tygodnie później przypadkowo trafiłam na książkę o Eliphasie Levi, jednym z najsłynniejszych francuskich ezoteryków XIX wieku, autorze podręcznika traktującego o Wyższej Magii. Do kręgu jego najbliższych przyjaciół, jak dowiedziałam się z książki, należała babka Paula Gauguina. Czyli poszukiwanie utraconych rajów, zajmowanie się mrocznym światem symboli należało w rodzinie malarza do tradycji.

Mimo zdanego egzaminu nie zostałam Salvadorem Matejką. Zamiast malowaniem wspaniałych obrazów zajęłam się rozwiązywaniem zagadki pewnej tajemniczej kobiety z miasta Magdala.

Wrzesień 1989

Podawanie komuś dłoni na pożegnanie czy - powitanie było dla mnie w Polsce prawdziwą męką. Wołałam skinąć głową lub po staroświecku dygnąć niż zmuszać się do dotykania czyichś, nawet przyjaznych, dłoni. To nie było przyjemne, ale prawdziwe tortury miały się dopiero zacząć w Bretanii, gdzie musiałam mieszkać przez pół roku. Tam uścisk dłoni jest drobiazgiem, cały ceremoniał powitań i pożegnań polega na całowaniu w policzek - trzy razy: cmok, cmok, cmok. Cmokanie słychać wszędzie; w knajpie, na ulicy, w autobusie. Paryżanie mówią, że Bretania jest krajem katolickim, więc całuje się tam trzykrotnie: W Imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego.

W zawsze awangardowym Paryżu całuje się cztery razy, koniecznie cztery razy nawet jeśli znasz kogoś od dziesięciu minut - Poznajcie się, to jest Ziuta, to jest mój najlepszy przyjaciel Pierre. Jeśli ucałujesz kogoś tylko dwa albo trzy razy, jesteś *pas gentil*, *pas mignon* i w ogóle nie lubisz Ziuty i najlepszego przyjaciela Pierra.

Poznając dziennie kilka osób, szalenie paryskich, bo przybyłych z Buenos Aires, Rzymu czy Montrealu, składa się od 40 do 80 całusów. Próbuję unikać tego całowania, twierdząc, że mam katar, podejrzenie o syfa a na pewno AIDS. Nie da się jednak wykręcić od innego koszmaru, jakim jest odpowiadanie na pytania z jakiego jest się kraju, co się robi we Francji, ile ma się lat, czy ma się psa lub rodzeństwo. Zawsze ten sam nudny i wścibski zestaw pytań. Najlepiej przygotować sobie karton i wypisać na nim wszelkie możliwe odpowiedzi. Po kilku dniach nauki na Alliance Française starałam się unikać wszelkich nowych znajomości czyli konieczności odpowiadania na pytania. Zapamiętywałam tylko narodowość kogoś już wcześniej poznanego, by rozpoznać czy gesty tego kogoś są wyrazem zбочzenia, czy też, jak w przypadku Włochów czy Greków, objawem południowego temperamentu.

W arabskim sklepiku na mojej ulicy uchodzę za Rosjankę, bo gdybym na pytanie ciekawskiego sprzedawcy powiedziała że jestem Polką, Arab pokiwałby głową, że wie gdzie jest Polska, że Wałęsa, że Jaruzelski. A mnie nie interesuje ani Jaruzelski, ani Wałęsa. Gdy mówię, że jestem Rosjanką to ludzi na chwilę zamurówuje, a potem patrzą na mnie z takim podziwem i przestraczem jakby za mną stał Gorbaczow z niedźwiedziem na sznurku.

Niestety, ja też zobaczyłam w Paryżu rosyjskiego niedźwiedzia na sznurku. Było to w upalny wieczór 14 lipca 1989 roku koło Łuku Triumfalnego. Nagle zrobiło się ciemno, zaczął padać śnieg, zawyła przeciągle upiorna muzyka i przez Champs Elysées zaczęli maszerować czerwonoarmiści w swoich okropnych szynelach, wysokich buciorach i z gwiazdą na czole. Za nimi

na ruchomej platformie tańczyła baletnica z wielkim białym niedźwiedziem. W ten sposób przeszła przez Paryż sowiecka parada z okazji dwusetnej rocznicy rewolucji francuskiej, bo przecież i Rosjanie mieli w 1917 swoją rewolucję. Czerwonoarmiści po przemaszerowaniu przez Pola Elizejskie zostali natychmiast załadowani do ciężarówek i odwiezieni do rosyjskiej ambasady, żeby przypadkiem któryś z nich nie zdecydował się zostać i prosić o azyl. Francuzi, widząc ten przerażający marsz, cieszyli się jak dzieci: a że sztuczny śnieg, a że niedźwiedź prawdziwy, i że Rosjanie jeszcze tym razem wrócą do siebie, do domu.

Poczułam się w tym rozbawionym tłumie dosyć dziwnie: prawie tak samo jak przed kilkoma miesiącami, gdy oglądałam telewizję w foyer dla emigrantów. Na ekranie spiker komentujący paryską manifestację przeciw Rushdiemu nie mógł zrozumieć, skąd się bierze fanatyczny, muzułmański tłum żądający śmierci pisarza, intelektualisty, no kogokolwiek w cywilizowanym państwie francuskim. Mało mnie ta afera i histeryzujący spiker obchodzili, jednak wokół mnie zamieszanie i słyszę jak wszyscy zaczynają wołać podekscytowani: Zabić Rushdiego! Zabić skurwysyna! Rozglądałam się w ciemnościach sali telewizyjnej i dostrzegam wyłącznie arabskich emigrantów z Maghrebu.

Ale to było dawno, bardzo dawno temu, prawie rok przed poznaniem w Alliance Française Bruna - jedyne go człowieka który nie spytał mnie w pierwszych minutach rozmowy, co robię we Francji, skąd jestem i jak mam na imię. Po lekcjach łączyliśmy zwiedzać pieszo Paryż dźwigając wielkie słowniki polsko-francusko-angielskie, bo w nieustającej gadaninie ciągle brakowało nam słówek. Po miesiącu spacerów nosiliśmy już mniejsze słowniki i znaleźliśmy więcej knajpek. Nasze rozmowy polegały na wymyślaniu prawdopodobnych bzdur rodzaju: dlaczego monady opisane przez Leibniza charakteryzował przede wszystkim brak drzwi i okien? Wy tłumaczenie jest proste - stary Leibniz siedzący w fotelu przy kominku, owinięty pledami nie cierpiał przeciągów. Wymyślił więc doskonałość pozbawioną drzwi i okien czyli monadę. Rozwiązaliśmy w ten sposób wiele zagadek filozoficzno-psychologicznych lub wręcz psychiatrycznych.

Niekiedy któremuś z nas nie chciało się iść do szkoły, bez umawiania jednak wiedzieliśmy, że po takim napadzie lenistwa wagarowicz czeka w kawiarni na rogu Raspail i Vavin. Pewnego październikowego dnia Bruna nie było w Alliansie, czyli czekał w knajpce, i rzeczywiście stał przy kontuarze, ale tak odmieniony przez obszerny, beżowy, długi płaszcz, że nie byłam pewna, czy to on. Kieliszek czerwonego wina w ręku, złota, lecz posrebrzona już trochę broda, opadające na ramiona włosy i wspaniały płaszcz łączący się w kompozycję „Bruno malowniczy”. Bruno czuł się trochę zażenowany swoją elegancją.

- Ten płaszcz przywiozła mi siostra - zaczął się tłumaczyć. - Ona jest projektantką mody w Stanach i zrobiła mi prezent.

- Bardzo ładny ciuch, ale co za pakuły wychodzą ci spod rękawa, o tu pod pachą - pokazałam palcem coś, co nie pasowało do szyku całości.

- To nie są pakuły, to jest owłosienie doklejone specjalnie w tym miejscu, dodające, według mojej siostry, oryginalności i sex-appealu całemu look. Można te włosy perfumować dezodorantem, jak prawdziwe. Dla ciebie też mam prezent - Bruno podał mi błękitno-biały golf. - Zawiniesz rękawy i będzie dobry.

Założyłam sweter. Siostra nie dokleiła na nim nigdzie włosów, ale za to przyszyła do pleców dwa skrzydła typu anielskiego, z wełny. Skrzydła trzymały się na drucie i powiewały majestatycznie. Wyglądaliśmy oboje świetnie, nie wypadało natomiast iść z takimi skrzydłami do „Królowej Saby” na „pirożki” ani do koszernej pizzeri, a potem do koszernej cukierni na Saint Paul, gdzie się tego dnia wybieraliśmy. Po prostu głupio byłoby się włóczyć ze skrzydłami na plecach po żydowskiej dzielnicy między domami modlitw, pobożnymi Żydami i dzieciakami z chederu. Postanowiliśmy pójść tam, gdzie mieszka najczęściej malarzy czyli na Bastylię. Był to wieczór, kiedy Bruno zadał mi nieśmiertelne pytanie: A jaka jest ta Polska?

Jaka? Zaczniemy od historii. Wiesz kim byli rycerze teutońscy, w Polsce nazywano ich Krzyżakami. Jeden z polskich królów pokonał Krzyżaków w wielkiej bitwie pod Grunwaldem, na początku XV wieku. W czasach Reformacji prawie cały zakon przeszedł na protestantyzm, ci, którzy pozostali katolikami mają teraz swoją siedzibę w Wiedniu. Właśnie w Wiedniu jeden z Krzyżaków pokazał mi zdjęcia z grudnia 81, na których zakonnicy w swych tradycyjnych białych płaszczach z czarnym krzyżem, zarzuconych na eleganckie garnitury załadowują do ciężarówek pudła z żywnością dla Polski. Tyle z historii, a teraz geografia. Polska jest dużym krajem. Przy granicy z Rosją, niedaleko miasta Białystok, jest jeszcze nawet trochę puszczy. Ktoś wpadł na pomysł zrobienia objazdu tamtych okolic z prawdziwym Murzynem. Wystawiano Murzyna na pokaz w chałupach sołtysów, oczywiście za opłatą. Dotknięcie prawdziwego Murzyna kosztowało ileś złotych więcej. Frekwencja wspaniała i same korzyści - ludzie zobaczyli na własne oczy Czarnego i mogli sprawdzić, czy nie pomalowany. Afrykańczyk ze Studium Języków Obcych w Łodzi zarobił parę groszy i ten, kto wymyślił cały pokaz też na pewno zebrał trochę forsy.

- Nic wiem czy wszyscy byli zadowoleni z nieco innej historii, wtrącił Bruno. - Tuż przed końcem wojny nasze wojska przemaszerowały przez głuchą francuską prowincję, gdzie nikt nie widział obcokrajowców, a na pewno Murzynów z US Army. Chłopcy wmawiali prowincjuszom, a zwłaszcza prowincjuszkom, że są pomalowani tylko na czas wojny, dla lepszego zamaskowania, a potem czarna farba się zmyje. Niestety, nic nie dało po wojnie szorowanie czekoladowych dzieci, farba nie schodziła.

Rozmawiając doszliśmy w końcu do „Voltaire”, precyzyjnie się do kontuaru i wzięliśmy po lampce i chyba raz jeszcze, bo stanowczo musiałam usiąść przy stoliku. Zebrało mi się na ogromną odwagę. Zaproponowałam Bruno coś, czego nikomu wcześniej nie proponowałam:

- Słuchaj, nasz związek trwa już tak długo, ty za kilka dni wrócisz do Londynu, więc trzeba to jakoś zalegalizować, nie sądzisz?

- No pewnie - pokiwał głową próbując zwinąć z sąsiedniego stolika popielniczkę, broniąc jednocześnie swego kieliszka przed nachalnym kloszardem.

- Proponuję żebyśmy zostali *amis*.

- A dlaczego nie *petit amis*?

- Bo ja mam męża - odpowiedziałam.

- Masz męża?

- Tak i jestem w nim zakochana do szaleństwa, on jest najcudowniejszy na świecie i, i nie wyciągaj mnie na zwierzenia, bo chyba nie słyszałeś, żeby kobieta tak zachwycała się swoim mężem.

- Owszem moja żona, to znaczy moja była żona.

- Widzisz, ja też nie wiedziałam, że jesteś żonaty.

- Byłem, byłem, ale wszystko co dobre ma swój koniec. Nasze małżeństwo było wspaniałe, wszystko układało się cudownie, aż za cudownie, bo po pewnej szalonej nocy Kena zerwała się naga z łóżka i zaczęła coś pisać przy biurku. Powiedziała, że kiedy się kochaliśmy doznała olśnienia. Olśnienie polegało na tym, że odkryła w kobiecie dodatkowy zmysł, coś pomiędzy zmysłem dotyku a zmysłem metafizycznym. Kena jest antropologiem, więc nie chciała popadać w mistycyzm ani w czystą biologię. Wymyśliła, że orgazm u kobiety nie jest efektem fizycznego dotyku, bo dotyk można określić: jego miejsce i siłę, a to co czuje kobieta w czasie kochania nic da się dokładnie opisać. Innym dowodem na prawdziwość tej teorii ma być fakt, że w orgazmie rozkosz rozchodzi się na całe ciało, co przy zwykłym, czysto fizycznym dotyku byłoby niemożliwe. Ta przyjemność musi być więc pochodzenia pozazmysłowego czyli duchowego. Konkluzja - wewnątrz ciała kobiecego jest zmysł łączący przeżycia fizyczne z duchowymi, taka z lekka materialna dusza która ujawnia się w czasie kochania. Tym sposobem Kena rozwiązała problem dualizmu psychofizycznego, problem, z którym nie można było sobie poradzić od czasów Kartezjusza.

Do tak rewelacyjnych wniosków moja żona doszła po licznych eksperymentach. Najpierw wypytywała się swoich koleżanek o ich przeżycia seksualne, a później jak każdy rzetelny naukowiec postanowiła robić doświadczenia na sobie samej. Nasza sypialnia zamieniona została w dość dwuznaczne laboratorium. Kena sprowadzała różnych facetów, by przekonać się w jakim

· Gra słów - po francusku „ami” oznacza przyjaciela, a „petit ami” kochanka.

stopniu siła orgazmu u kobiety, to znaczy konkretnie u Keny, zależy od predyspozycji duchowych i fizycznych partnera.

Zostawiłem Kenie nasze nowojorskie mieszkanie i poleciałem do Północnej Afryki, gdzie jako geolog kopałem skałki. Znajdowałem dużo skamieniałych roślin, więc przerzuciłem się na paleontologię. Wśród roślin zacząłem trafiać na kości, prymitywne narzędzia, stare groby. Postanowiłem więc studiować antropologię w Bejrucie, gdzie w sumie mieszkałem dziesięć lat. Nie wiem czy Kena opublikowała swoją pracę, co do mnie, dzięki naszemu rozstaniu mieszkam w Europie, mam dobrą pracę w British Muséum, a po morderczych miesiącach na Rub al-Khali, znalazłem, jak sądzę, wyjaśnienie, skąd się wzięły ludy semickie. Ale skąd się biorą tacy ludzie jak ci, co właśnie usiedli za tobą, nie jestem w stanie odpowiedzieć.

Popatrzyłam w wiszące nad barem lustro i wśród dymu zobaczyłam tuż za mną dwa kolorowe czuby panczurów. Punki rozmawiały bardzo głośno, ale nie po francusku.

- Bruno ja rozumiem co oni mówią. To nie jest po polsku, to nie jest po włosku. Boże co to za język? Bruno już wiem! To są Rosjanie. Co prawda nigdy nie widziałam rosyjskich punków, może są tu na delegacji. Punky musiały zauważyć, że gadamy o nich, bo ten z większym czubem stuknął mnie w ramię i wcale nie agresywnie, a wręcz ze smutkiem zapylał:

- *No szto?*

- *Niczewo* - odpowiedziałam.

Chłopak wrzasnął - Jurij, Rosjanie! Jaka radość! - i zbierając swoje butelki, szklanki przesiedli się natychmiast do nas. Nie mieliśmy czasu dłużej porozmawiać. Dowiedziałam się tylko, że Jurij i M. są z kapeli, która rok temu poprosiła we Francji o azyl. Tęskno im nieraz do domu, ale na nostalgię mają niezawodną receptę - słuchanie Radia Moskwa. Po pół godzinie przechodzi im wszelka tęsknota. Naszą rozmowę przerwało wejście do knajpy faceta ubranego dość schludnie, ale o włosach trudno powiedzieć czy bardziej brudnych, czy bardziej długich. Od razu w drzwiach wypatrzył punków i zaczął się przeciskać do naszego stolika wołając oskarżycielsko: Obcięli włosy! Obcięli! A we włosach jest siła boża. Póki Samsonowi Dalila włosów nic obcięła miał w sobie ducha bożego!

Facet był ewidentnie szaleńcem, ale mówił rzeczy ciekawe.

- Wszystkie wariactwa, choroby umysłu biorą się z szamponów. Szampon jest chemicznym świństwem, trucizną, wpłynie do oka i oko boli. A ludzie wcierają szampon we włosy, w delikatną skórę głowy, w mózg i szampon mózg przeżera. Włosy trzeba myć ziołami, nacierać mirrą i olejkiem różanym, by olejek pachnący służył po włosach. Tak jak głowę Chrystusa namaszczała święta Maria-Magdalena i wiedziała co robi, miała piękne włosy aż do ziemi i Chrystus zmartwychwstał a Samson zginął. O!

I ja też niedługo będę miał siłę bożą, jak będę na czas wracał z przepustek do szpitala Świętego Antoniego. I wy wracajcie do domów swoich bo Bastylię zburzyli, ale Bastylia odrośnie. Znowu będzie rewolucja i będą włosy razem z głowami obcinać.

Mówiąc to wypijał nam wszystkim wino z kieliszków. Nie było po co już siedzieć nad pustymi butelkami. Pożegnaliśmy się obcałowując po cztery razy.

W metrze lekko zawiany Francuz próbował nawiązać mną konwersację:

- Panienska nie jest Francuzką?

- Nie, nie jestem.

- To zapewne jest Hiszpanką.

- Nie.

- To z jakiego kraju jest panienska?

- Co pan nie widzi - pokazałam na anielskie skrzydła przymocowane do swetra. - Z kosmosu jestem, ale muszę wracać bo kończy mi się przepustka. Do widzenia.

Październik 1989

W Alliance Française przy Bulwarze Raspail 101 wkuwałam słówka i gramatykę, natomiast przy numerze 56 Bulwaru Raspail natrafiłam na jakąś szkołę czy akademię. Mijałam codziennie jej szklaną wieżę, aż kiedyś zajrzałam do środka, akurat wywieszano program studiów na rok 89/90. Przyjmowano kandydatów, którzy mają ochotę zapisać się na studia doktoranckie albo dyplomowe - mile widziane zaliczenie kilku lat studiów na innej uczelni. Można było wybrać przeróżne fakultety: od geologii, matematyki aż po sinologię czy muzykoznawstwo. Student ma obowiązek chodzić na wybrane seminarium - dwie godziny tygodniowo i konsultować się w trakcie pisania pracy z promotorem. Przejrzałam nazwiska profesorów: Castoriadis, Pomian, zastanawiając się czy warto dalej brnąć w filozofię. Przypominam sobie smętne dywagacje nad Heglem, nudę oblepiającą aż do snu oczy na seminariach z Habermasa, wietrzący urok Szkota Eriugeny czy Księgę Gamma Metafizyki Arystotelesa, śpiewaną przez zalanych kolegów w rytmie bluesa, ze stripteasem w momentach najbardziej gamma metafizycznych, i odechciało mi się studiowania filozofii. Pięć lat na ćwiczenie umysłu w logice i erudycji wystarczy. Teraz trzeba zająć się czymś poważnym.

Inne seminaria: Profesor Milan Kundera - „Rola muzyki w powieści” - to mnie nie interesuje, Profesor Dériada - też mało interesujące, jak widzę Nietzschego przechodzę na drugą stronę ulicy. Fakultet neolitu mógłby być nawet ciekawy, ale wydział ten znajduje się nie w Paryżu a w Tailuzie. Antropologia - owszem, to jest coś, co sprawia mi przyjemność. Niestety jest tylko antropologia średniowiecza. Chciałabym popisać o kulcie czaszki, najwięcej na ten temat można znaleźć w Antyku i trochę wcześniej. Nie bądźmy jednak szczegółowi, antropologia to antropologia i w średniowieczu jakies czaszki też się znajdują, trzeba będzie przekonać do tego promotora. Jako że

szkoła czyli Ecole de Hautes Etudes en Sciences Sociales, będąc powiązana z Sorboną, pozostała szkołą półprywatną, może finansowo pozwolić sobie na zatrudnienie pana Kundery czy pana Besançona. Że nie jest to któryś z państwowych uniwersytetów paryskich łatwo się przekonać już w czasie zapisów. Na uniwersytetach szaleństwo, tłumy czekające dwa, trzy dni w kolejkach do sekretariatu. Chcąc się zapisać do Ecole des Hautes Etudes prosi się telefonicznie o spotkanie z wykładowcą. W gabinecie profesor, popijając spokojnie kawę, ma wystarczająco dużo czasu by w nieobowiązującej, uroczej konwersacji przekonać się czy student nadaje się na studenta.

- A więc, Panie Profesorze, studiowałam w Polsce co prawda filozofię, ale interesowała mnie wyłącznie filozofia średniowiecza. Spór o uniwersalia, Civitas Dei świętego Augustyna (straszne kłamstwa i w dodatku za pomocą świętych), święty Tomasz z Akwinu i jego Summa Theologiae. Ale tak najbardziej to w filozofii interesowała mnie antropologia. Szukanie na przykład odzwierciedlenia tez teologicznych w architekturze. Schemat wpisania ciała Chrystusa w katedrę gotycką, z zawsze zachowaną orientacją wschód - zachód. Taki układ symboliczno-architektoniczny sięga w swej tradycji czasów wcześniejszych. Już w neolicie znajdujemy groby zorientowane na osi wschód - zachód. Najlepiej zachowały się z tych grobów czaszki. I tak dalej przez Neolit, Egipt, Palestynę, dobrnęłam do nieszczęsnego średniowiecza. W średniowieczu, tak, w średniowieczu czaszka ludzka, to znaczy jej reprezentacja ma inne nieco znaczenie. Chociażby funkcja czaszki w inicjacji zakonu Templariuszy, informacje na ten temat pochodzą z akt inkwizycji, niemniej można podejrzewać, że istniał pewien związek z rozpowszechnioną ówczesnie herezją... - w tym momencie profesor na szczęście przerwał mój wywód mający go przekonać o istnieniu niewątpliwych powiązań pomiędzy neolitycznym kultem czaszki i jej przedstawieniem w średniowieczu.

- Gdy pani mówiła przeglądałem to co pani napisała; plan poszukiwań i pani dossier. Interesujące, oto moja akceptacja i podpis z małym zastrzeżeniem. Prowadzę seminarium z nawróceń w średniowieczu, a nie z herezji. Skieruję zatem panią na seminarium dotyczące wyobrażenia i reprezentacji ciała w średniowieczu; jak sądzę będzie tam ktoś, kto zajmuje się głową lub czaszką, która wieńczy korpus ludzki.

W ten oto sposób po półgodzinnej rozmowie zostałam studentką E. H. E. S. S., Wydziału Antropologii ze specjalizacją czaszka ludzka. Temat niezły, ale tak naprawdę, co mam o tej czaszce napisać? Gdzie tu jakąś czaszkę średniowieczną znaleźć. Obrazy przedstawiające świętego Hieronima pochylonego nad stołem, na którym leży Biblia i zmurszała czaszka, pokutująca Maria-Magdalena wpatrująca się w puste oczodoły czaszki i na tym kończy się moja wiedza.

5 października

Wiedzy na temat czaszki nie przybyło. Wertuję tomy Orygenesusa, św. Hieronima, Zohar i ciągle nic. Może tylko tyle, że *rosz* (głowa po hebrajsku) oznacza również szczyt góry. Golgota znaczy miejsce czaszki, więc ilość czaszek się mnoży, ale nic z tego nie wynika. W dodatku św. Hieronim (przedstawiany zawsze z czaszką) w komentarzu do Ewangelii św. Mateusza zaprzecza pogłoskom jakoby miejsce zwane Golgotą zawdzięczało nazwę temu, że pochowany był tam praojciec Adam, a dokładnie w miejscu gdzie znajdowała się jego czaszka stał krzyż Chrystusa. Według św. Hieronima Adam został pochowany koło góry Hebron, o czym można przeczytać w księdze Jozuego. Golgota natomiast bierze swą nazwę stąd, że na jej szczycie wykonywano kiedyś wyroki poprzez dekapitację. Przed Chrystusem byli ukrzyżowani na Golgocie inni skazańcy i ich krew także miałaby spływać na grób Adama?

Trzeba będzie poszukać czegoś o św. Marii-Magdalenie, bowiem św. Hieronim ma jednoznaczne poglądy na tematy mnie interesujące, poparte faktami i autorytetem Biblii. Nic tu się dla antropologa do skomentowania ani zainteresowania nie znajdzie.

6 października

Wareszcie po roku tułaczki po hotelach, przytułkach, zamęczania znajomych i przyjaciół naszą obecnością mamy z Cezarym nasze własne mieszkanie. Od przyjazdu do Francji spaliśmy w różnych miejscach: w przedsionku kasy oszczędnościowej otwieranej dla nas nocą przez dozorcę lubiącego młodzież; w szafie zakonu dominikanów; w starym parku, który rankiem o świcie okazał się być zapuszczonym cmentarzem.

Zawsze mówiłam, że ktoś przeklął dach nad moją głową, ale teraz koniec klątwy i włóczenia się - własne studio z dwoma dużymi oknami, drewnianą podłogą, łazienką, malowniczymi łukami oddzielającymi kuchnię od pokoju. Całe to cudo jest tuż przy placu Nation na ulicy o śmiesznej nazwie Rendez-Vous.

8 października

Dwa dni przed naszym wprowadzeniem zawalił się sufit w łazience. Ktoś jednak przeklął dach nad moją głową. Pierwsza noc w nowym mieszkaniu i już impreza światło-dźwięk. Gdy wyłączyliśmy lampę i położyliśmy się zmęczeni przeprowadzką, zobaczyliśmy tuż nad naszymi głowami świecące dziury. Nie mogły to być gwiazdy, nie mieszkaliśmy przecież na poddaszu. Jednak świecące punkty układały się najwyraźniej w konstelacje Oriona, Wielkiej Niedźwiedzicy. Zapaliliśmy światło i obejrzeliliśmy sufit. Na deskach przyklejono niewidoczne w dzień kawałki czegoś fosforyzującego, w ciemnościach znakomicie udającego gwiazdy.

O czwartej obudził nas tupot i pisk. Nie można było mieć wątpliwości - myszy. Mój dzielny mąż uzbrojony w szczotkę wyruszył na polowanie. Polskie myszy wystarczyło postraszyć stukaniem i miało się spokój do rana. Paryskie myszy, nieco mniejsze, były bardziej bezczelne. Włączone radio, światło dodawały im odwagi i zachęcały do harców, galopad. Siedząc na łóżku, zawinięta w koc odważyłam się wyrzeć na pole bitwy i w tym momencie jedna z myszy zaczęła szarżować w moją stronę. Nie było innego wyjścia jak użyć gaz łzawiący. Myszy mają chyba zbyt małe oczy by zareagować na gaz więc szare stworzenie przebiegło niczym nie spłoszone przez moje łóżko i zaczęło nową rundę wokół mieszkania. Załzawieni, pokonani musieliśmy wyjść z domu. Doszliśmy do placu Bastylli, placu, co do którego, jeszcze wiele lat przed rewolucją, hrabia Cagliostro przepowiedział, że będzie należał do ludu i - rzeczywiście, na wszystkich prawie ławkach spali kloszardzi. Poszukaliśmy wolnej ławki i położyliśmy się, my właściciele studia za 2000 franków miesięcznie.

10 października

W Instytucie Jezuickim przy Sèvres Babylone, gdzie chodzę na hebrajski (nie w celach emigracyjnych a czysto naukowych) oczywiście polscy jezuici. Janusz - dwadzieścia kilka lat - znakomicie mówi po arabsku, był przez pewien czas w Syrii i gdybym zobaczyła go w XVIII dzielnicy w którejś z tunezyjskich knajpek nigdy bym nie uwierzyła, że nie jest Arabem. W wakacje jedzie do Oxfordu uczyć się angielskiego, jestem pewna, że po powrocie będzie miał wygląd gentelmana, który właśnie wyszedł z pubu. Inny geniusz językowy zakonu jezuitów to Ryszard, a właściwie Richard, - ojciec Francuz, matka Włoszka, czyli od dzieciństwa dwujęzyczny. W Polsce był przez kilka miesięcy i jak twierdzi polskiego dobrze nie zna, ale nigdy nie słyszałam cudzoziemca, który by mówił po polsku zupełnie bez obcego akcentu, wymawiającego wszelkie zawilosci szczędź. Chrzęszcz brzmi w trzcinie w Strzebrzeszynie Ryszard mówi szybciej i wyraźniej niż ja. Pięć lat mieszkał w Indiach. Gdy miał ochotę przejść do Nepalu bez wizy, przebie- rał się i zupełnie zniknął w tłumie Hindusów, co przy jego śniadej cerze nie było chyba trudne.

Kiedy w Paryżu mijaliśmy chińską restaurację, Ryszard z rozmarzeniem wdychał opary orientalnej kuchni przypominającej mu dzieciństwo, bowiem jako kilkuletni chłopiec należał do drużyny skautów wyspy Mauritius, drużyny w której oprócz niego byli sami mali Chińczycy. Po chińsku mówi słabo, tak jak i po polsku.

Janusz poznał mnie też z Alicją pracującą w bibliotece Instytutu. Dzięki niej mogłam wchodzić do sali z książkami, przeglądać albumy, szperać wśród foliałów, a nie w katalogu co jest dosyć trudne, gdy szuka się dopiero bibliografii na temat raczeń niesprecyzowany. Biblioteka otacza górny poziom gotyckiego kościoła św. Ignacego, w jej magazynach leży około stu pięćdziesięciu tysięcy książek.

14 października

Maria-Magdalena. Skąd to podwójne imię? Alicja wskazała mi olbrzymi kilkutomowy słownik świętych. Znalazłam w nim, że Maria urodziła się w mieście Magdala. A więc Maria z Magdali stała się z czasem po prostu Marią-Magdaleną. Co znaczy słowo Magdala? W hebrajskim słowo to ma zapis *MGDL* i oznacza wieżę. Ciekawa jest wartość numeryczna tej wieży: M = 40, G = 3, D = 4, L = 30 czyli 77. Dwie siódemki. Wieża i liczba siedem uzupełniają się w pewien sposób: 7 oznacza zakończenie jakiegoś procesu, jego wypełnienie, przejście określonej drogi, a wieża... Schemat wieży jest dość prosty *X*, łączy to co na dole z tym co u góry. Wznoszący wieżę Babel mówią: „...zbudujmy miasto i wieżę szczytem sięgającą nieba”. Księga Rodzaju XI, 4. Szczyt po hebrajsku znaczy „rosz”, dosłownie tłumacząc „głowa”. Jeśli wieża łączy to co na ziemi (stopy) z tym co w niebie (głowa), jest więc symboliczną drogą pomiędzy tym co ziemskie a tym co niebiańskie, drogą do przejścia, drogą o wartości 7.

Czy schemat wieży ma inne związki z Marią Magdaleną? Najpierw trzeba pominąć wątpliwości dotyczące jedności postaci świętej i ładacznicy. Orygenes, św. Hieronim byli oburzeni pomysłem utożsamiania jawnochrześnicy obmywającej łzami stopy Chrystusa, ze świętą namaszczącą wonnym olejkiem Jego głowę. Łacińscy Ojcowie Kościoła uznali jednak jedność tych postaci, a skoro zajmuję się antropologią średniowiecza, a nie Antyku wypada mi zgodzić się z ich opinią.

Wieża mająca „stopy” na ziemi, „głową” dotykająca nieba. Maria z Wieży. Czy jest w Nowym Testamencie jakakolwiek scena, w której Maria z Magdali nie występowałaby w skojarzeniu ze stopami lub głową? Ewangelia wg Jana 12,3-4: Maria namaszcza olejkiem *stopy* Chrystusa. Ewangelia według św. Łukasza 10,38: Marta krząta się przy kuchni, a Maria „...siadła u *nóg* Pana i przysłuchiwała się Jego mowie”. Ewangelia według św. Marka 14,3-8: Maria namaszcza olejkiem *głowę* Chrystusa. Ewangelia według św. Jana 11,32: scena poprzedzająca wskrzeszenie Łazarza, gdy zapłakana Maria, klęcząc obejmuje *stopy* Chrystusa. Ewangelia wg św. Jana 19,25: Maria klęcząca przed krzyżem ma głowę na wysokości stóp Chrystusa. Ewangelia wg św. Jana 20,3-9: „Wszedł więc Piotr i ów drugi uczeń i szli do grobu. Biegli oni obydwaj razem, lecz ów drugi uczeń wyprzedził Piotra i przybył pierwszy do grobu. A kiedy się nachylił zobaczył leżące płótna, jednakże nie wszedł do środka. Nadszedł potem także Szymon Piotr, idący za nim. Wszedł on do wnętrza grobu i ujrzał leżące płótna... Wtedy wszedł do wnętrza także i ów drugi uczeń, który przybył pierwszy do grobu. Ujrzał i uwierzył”. Piotr widział pusty grób, prawdopodobnie także i Jan. Natomiast towarzysząca im Maria-Magdalena „...stała przed grobem płacząc, a kiedy tak płakała, nachyliła się do grobu i ujrzała dwóch aniołów w bieli, siedzących tam gdzie leżało ciało Jezusa - jednego w miejscu *głowy*, drugiego w miejscu *stóp*”. Ewangelia wg św. Jana 20,11-13.

Grób Chrystusa jest miejscem gdzie dokonało się Zmartwychwstanie, a więc zakończenie pewnego etapu symbolizowanego przez liczbę siedem. W symbolice chrześcijańskiej liczba osiem oznacza odrodzenie, Chrystusa Zmartwychwstałego. W egzegezie judaistycznej 8 jest barierą, próbą do przebycia, a ten kto ją przejdzie osiąga Nowe Życie. Jedynym fragmentem Nowego Testamentu, w którym Maria-Magdalena nie występuje w skojarzeniu „stopy-głowa” jest właśnie moment „Noli me tangere” w ogrodzie otaczającym grób. Ale Chrystus widziany wtedy przez Marię-Magdalenę jest już Chrystusem Zmartwychwstałym, symbolicznie będącym w sferze liczby 8 a nie 7.

17 października

Moje spostrzeżenie co do związku Marii-Magdaleny ze „stopami” (czemu stopy, głowa w cudzysłowie? przecież są to tylko symbole żerujące na czymś konkretnym) nie jest paranoiczne. Raban Maur, tysiąc lat temu, też zauważył tę zbieżność: Zawsze Maria-Magdalena jest tą, która obejmuje stopy Chrystusa, nawet jeśli w niektórych sytuacjach mogłaby to zrobić inna postać. Cytat z Rąbana Maura: „Ona (Marta) biegnie do grobu by płakać. Ale Maria idzie tam gdzie jest Jezus i widząc go rzuca się do Jego stóp”.

Jeśli w architekturze cystersów wieża symbolizuje wznoszenie się duszy do Boga i jeśli athanor (piec alchemiczny) zapożyczył swą formę od wieży to wiadomo, czego trzeba będzie szukać na temat jej symboliki. Nie lubię słowa gnoza ani nauki hermetyczne. To, co czeka na uporządkowanie, to skamienielizny, ślady po czymś, co kiedyś było gnozą. Zostały po nich martwe, zetlałe okruchy układające się w logiczną całość.

Zajmowanie się nimi jest wiwisekcją, pouczającą bo dowodzi ona, że kiedyś „to coś” żyło i nieźle mu się wiodło na tym świecie, czy w tych światach. Gnoza jest teologią ezoteryczną i porządkuje to, czego doświadczeniem jest Mistyka. Sztuką ezoteryczną jest Magia, a jej filozofią Hermeneutyka. Jeżeli nie ma Mistyki, nie może być Gnozy, korzystającej z niej Świętej Magii i refleksji nad nią, czyli Hermeneutyki. Przerywając ten łańcuch, pozbawiając go Mistyki otrzymujemy dywagacje religioznawcze, a nie kontemplację przeżycia mistycznego, bowiem jak być gnostykiem nie będąc mistykiem?

Ze Świętej Magii zostaje wtedy śmieszny zabobon, a osoba pragnąca być Magiem staje się nie panem siebie i Mędrce a podlegającym przyływowi morza, płomieniom ognia i porywom wiatru czarownikiem.

Filozofia, Filozof? Nad wejściem do Collegium Broscianum, gdzie mieści się szacowny Wydział Filozofii Uniwersytetu Jagiellońskiego, powinno zostać wykute nawet nie „Porzućcie wszelką nadzieję”, a słowa pewnego, rabina słyszącego, że jego uczniowie zaczynają się interesować nowinkami filozoficznymi: „Tam gdzie filozofia kończy swe dociekania, my dopiero

zaczynamy”. Nie jestem Mistykiem, a więc Gnostykiem czyli Magiem i Hermeneutą. Jestem studentką antropologii, zatem dalej do roboty.

20 października

Liczba siedem występująca w związku z postacią Marii-Magdaleny: 1) Siedem złych duchów wypędzonych z niej przez Chrystusa. 2) w Ewangelii wg św. Jana wskrzeszenie Łazarza (brata Marii-Magdaleny) jest siódmym cudem dokonany przez Jezusa, licząc od cudu w Kanie Galilejskiej. 3) W „Złotej Legendzie” opisującej pokutę Marii-Magdaleny można znaleźć następujący fragment: „Mieszkając bez przerwy w krypcie, była unoszona do nieba siedem razy dziennie na rękach aniołów i słuchała tam, będąc jeszcze w cielesnej postaci, chórów anielskich”. 4) W „Żywocie Marii-Magdaleny” spisany przez Rąbana Maura długość grobu Chrystusa wynosi dokładnie siedem stóp.

Trzeba przypomnieć sobie inne symboliczne siódemki i sprawdzić czy mogą być przydatne w analizie postaci Marii Magdaleny; 1) Deut. 15,1-7: Po siedmiu latach służby można dać niewolnikowi wolność (jeśli na to zasłużył)! W Zoharze tym niewolnikiem wyzwolonym po siedmiu latach jest dusza przechodząca przez stopnie oczyszczenia. 2) W szkole mistyki Merkaba, aby osiągnąć wizję Tronu Bożego należało przejść przez siedem komnat, czego odpowiednikiem jest wędrówka poprzez siedem sfer nieba.

W książce pana Roche wydanej w serii studiów nad kataryzmem znalazłam też coś o siódemce: „...siedem stopni inicjacji było wyznaczone dla manichejczyków poprzez cztery kręgi wtajemniczonych i trzy kręgi wybranych. W inicjacji katarskiej odwoływano się natomiast do siedmiu szczebli Mądrości z poematu Boecjusza”.

Siedem stopni inicjacji, siedem komnat prowadzących do Boga (o tych siedmiu komnatach pisała także św. Teresa z Avila) - czyli przejście przez pewną barierę w inną sferę duchowości. Maria-Magdalena grzesznica; nawrócona, oczyszczona z demonów, pokutująca i unoszona siedem razy dziennie do Nieba - czy nie odpowiada to schematowi inicjacji, prowadzonej poprzez oczyszczenie, pokutę i odpowiednie praktyki magiczne, do nowego stanu duszy. Tę „barierę”, symboliczne przejście w inną rzeczywistość (duchową) przedstawia płaskorzeźba z XII wieku w Autun. Dwaj aniołowie unoszą św. Marię-Magdalенę do nieba poprzez dach pustelni czy sklepienie grotty.

W athanorze, mającym formę wieży, miała zajść reakcja przetworzenia ołowiu w złoto, czyli transmutacja grzesznej duszy obciążonej pożądliwościami ciała w stan duchowej czystości.

A czym innym, jak nie taką metaforyczną transmutacją, było życie Marii z Magdali (Wieży), nawróconej jawno grzesznicy, pokutującej, oczyszczającej swą duszę do duchowej nieskazitelności godnej uniesień aż do nieba.

Maria-Magdalena jest patronką Francji. Złośliwi mówią, że kraj ten ma patronkę na jaką sobie zasłużył. Legenda, opisująca życie Marii-Magdaleny na południu Francji, w okolicach Marsylii, pochodzi z IX wieku. Wcześniej uważano, że święta po opuszczeniu Jerozolimy wraz z Marią matką Jezusa i świętym Janem udała się do Efezu i że tam znajduje się jej grób. Ponoć był to grób św. Marii-Magdaleny i siedmiu Braci Śpiących (siedmiu męczenników). Znowu siódemka. Muszę poszukać czegoś o tych Męczennikach, skoro było ich właśnie siedmiu.

30 października

Pod koniec października, ale nadal jest ciepło. Stoliki wystawione przed kawiarnie i brasserie. Siedzę przy jednym z takich stolików z Jacquesem, studentem teologii. W Polsce krzesła w kawiarniach są ustawione naprzeciw siebie, co jest dość naturalne, bo ludzie spotykają się tam by ze sobą porozmawiać. We Francji krzesła są poustawiane w taki sposób, że siedzi się koło siebie, ale będąc zwróconym nie do rozmówcy, a do ulicy. Aby popatrzeć sobie w oczy, czy żeby po prostu czasem spojrzeć na siebie trzeba co chwilę wykonywać dziwne półobroty. Jest to męczące, więc po kwadransie tak jak inni rozmawiając gapię się na ulicę.

- Jacques, ja nigdy nie nauczę się pisać po francusku. Pisany francuski jest językiem obrazkowym. Jeśli nie widziałeś nigdy jakiegoś słowa nie jesteś w stanie napisać go poprawnie.

- Jedz francuski *petit déjeuner*, pij francuskie wina a ortografia sama ci się wleje do głowy - zadowolony ze swej recepty Jacques schrupał piątego rogalika.

- Wiesz co, jak już udzielasz porad, to mógłbyś na moment zapomnieć o tym, że jesteś Francuzem i nie opowiadać mi o jedzeniu, o picciu, a normalnie jak teolog poradzić jakąś modlitwę do Ducha Świętego, żeby zesłał mi dar chociaż dwóch języków obcych.

- Jakbyś mnie pytała co zrobić, żeby nie grzeszyć, to poradziłbym ci litanie, ale ty masz problem z językiem francuskim, no to poradziłem ci coś adekwatnego do twego zmartwienia. Ale, ale widzisz tych dwóch na skrzyżowaniu? Zgadnij z jakiego są zakonu.

Przez ulicę przechodziło właśnie dwóch zakonników w brązowych habitach.

- Nie wiem, może franciszkanie.

Jacques, student teologii zaprzeczył - Nie, nie. To jest zakon przebierańców.

- A co ty mówisz - zdziwiłam się. - Zwykli zakonnicy.

- Zwykli może w średniowieczu, jak te ich sukienki były oznaką ubóstwa. Teraz biedni nie chodzą w czymś takim.

- Nie masz racji - próbowałam przekonać Jacquesa. - Dobrze gdy zakonnik wygląda jak zakonnik, a poza tym tradycja. W Krakowie jest taka długa ulica, wzdłuż niej kasztanowce, mury i kościoły. Kiedy spadnie śnieg, rano, jeszcze cicho i zakonnice idą rzędem tą ulicą, w czarnych

długich płaszczach to jesteś teraz i dwieście lat temu i każdej zimy, patrząc na tę czarną procesję przez śnieg.

- Zobaczysz pójdziesz do piekła dla estety - Jacques pogroził mi rogalikiem.

- A ty do piekła dla postępowych teologów. Jacques zaśmiał się: - W którym to kręgu piekła?

- W takim gdzie są najcięższe męki i brak rogalików.

Zapłaciliśmy rachunek, to znaczy ja za kawę a on za dziesięć rogalików i trzy kawy.

4 listopada

Przejrzałam w czytelni wszystkie słowniki hebrajskie i komentarze językowe do Starego Testamentu. W którymś z tomików znalazłam wzmiankę o tym, że liczba 7 występuje w Starym Testamencie 77 razy. Przypomniało mi się to po dwóch dniach, gdy robiłam noty biograficzne. Nie mogłam znaleźć tego właśnie fragmentu. Kilka godzin wertowałam wszystkie znajome mi słowniki, encyklopedie i nic. Magdała o wartości 77 i 77-krotne występowanie liczby 7 w Starym Testamencie, byłby taki łaciny przypis. Sprawdziłam na komputerze: słów o rdzeniu 7 jest w Starym Testamencie 961. Szkoda, że nie 77.

7 listopada

Pan Andrzej wpadł do nas na chwilę posłuchać radia i poplotkować z Cezarym o polityce. Przeprowadził się w okolice wieży Eiffela i nie może złapać Wolnej Europy.

- Ani w łazience, ani na poddaszu, no nic nie łapię. Eiffel wszystko zagłusza.

Przejrzał moje rozrzucone papiery i współczująco spytał: - A ty wiesz w co się wkopałaś? Nie dość, że święta to i święta gnostyczna. Całą Pieśń nad Pieśniami można do niej skomentować i Sopię gnostyków.

- Pewnie, że się wkopałam. Czas mi zabiera, rysować ani malować mi się nie chce bo cały dzień siedzę w bibliotekach. Znalazłam dzisiaj „Ewangelię wg Marii-Magdaleny”.

- Wiesz kto się opiekuje masonerią francuską? - egzaminował mnie Andrzej.

- Święty Jakub z Composteli.

- To od strony męskiej, a od żeńskiej?

- Pewnie, że Magdalena. Pierwsza przyszła do grobu Chrystusa i dlatego została patronką pielgrzymów do Ziemi Świętej. Jedni pielgrzymowali przez morza jak rycerze wypraw krzyżowych, Templariusze, Szpitalnicy. Inni pielgrzymowali w gotyckich katedrach wzdłuż posadzkowych labiryntów - jak robili to średniowieczni masoni.

Posiedzieliśmy rozmawiając prawie do północy. Przez mieszkanie przebiegła zabłąkana mysz i zniknęła w okolicach łazienki. Odprowadziliśmy Andrzeja na ostatnie metro. Wracając zajrzeliśmy do braserii i zasiedzieliśmy się tam do pół do drugiej dotrzymując towarzystwa jednej kawie.

8 listopada

Może przez to, że ciągle wertuję Biblię przyszło mi do głowy coś bardzo religijnego, tak religijnego, że aż prawie heretyckiego. Pomysł na obraz: Ciemne tło, na krzyżu Chrystus, a właściwie same ręce przechodzące w poziomą belkę krzyża. Lekko zaznaczone nogi, wyraźnie przebite stopy dotykające ziemi czubkami palców. Tam, gdzie powinna być głowa przedłużenie pionowej belki przez białe światło rozłupujące blaskiem prawie czarne tło. Pod krzyżem Matka Boska zamyślona jak wczesnogotyckie madonny, trzymająca w ręku różę kaleczącą jej palce. Po lewej stronie święty Jan z rozłożoną księgą, barokowo rozwichrzone szaty, ale jego głowa jest głową orła. Robi to wrażenie trochę egipskie - człowiek z głową ptaka. Madonna i święty Jan w ciepłych, nasyconych kolorach. Malowanie świętego Marka z głową lwa miałoby w sobie coś pogańskiego, ale głowa orła to co innego.

Wieczorem wracam do Marii-Magdaleny. Zastanawiam się, co jeszcze ją wyróżnia spośród innych postaci Nowego Testamentu: Jn. 11,31; Jn. 20,11; Jn. 20,13-16; Lc. 7,36-38. Maria-Magdalena jest najczęściej tą która płacze. Słowo „łza”, po hebrajsku *DIMAAH* jest bardzo podobne w zapisie do słowa „poznanie”, czyli gnoza, po hebrajsku *DAAH*. Jeśli do „poznania” *DAAH* dodać literę M symbolizującą wodę, a więc istotę łzy, otrzymamy właśnie słowo „łza” *DIMAAH*. Adam i Ewa, jedząc owoc z zakazanego drzewa, stają się „jako bogowie” znający dobro i zło. Skutek tej wiedzy (tego poznania) był dość smutny - skazanie na życie w trudzie i cierpieniu, czyli we łzach bólu i trudu. Łza zawiera w sobie poznanie, gorzką wiedzę. Innym słowem podobnym do hebrajskiego słowa „łza” jest słowo „grób” *DUMA*. Maria-Magdalena płacze przy grobie Chrystusa i przy grobie Łazarza. Wartość liczbowa słowa *Magdala* wynosi 77 (70 i 7); 70 jest wartością litery *Aijn* symbolizującej źródło lub łzawiące oko. Maria-Magdalena nie dość, że płacze, to pochodzi z miasta obfitującego niegdyś, jak wykazały to badania archeologiczne, w liczne źródła.

Jeśli dotychczas w analizie słowa *Magdala* znajdowałam skojarzenia dotyczące osi wertykalnej to i tym razem płacząca Maria-Magdalena musi mieć coś wspólnego z podnoszeniem się, prostowaniem czyli *OME*. W lustrzanym zapisie „podnosić się, prostować” odpowiada słowu „płakać, wylewać łzy”. Pokuta Marii-Magdaleny, jej łzy miały sens - dzięki nim dusza „prostuje się”, „podnosi” z upadku (grzechu), odradza w swej sile. Chrystus mówi w Nowym Testamencie, że aby wejść do Królestwa Niebieskiego trzeba się odrodzić; musi wtedy umrzeć stary człowiek,

skojarzenie z grobem. Wchodząc do Królestwa Niebieskiego należy się wcześniej oczyścić przez łzy pokuty.

Woda, łzy, odrodzenie nasuwają skojarzenie z oczyszczającą wodą chrztu. Szczęśliwym trafem znalazłam cytaty ze średniowiecznych pism (Pierre de Celle): „Maria-Magdalena jest znowu ochrzczona (*rebaptisée*) w rzece swoich łez”

Wiedza, łzy, pokuta, a jeśliby dorzucić do tego drzewo (oś pionowa, którą jest także wieża), to jesteśmy w rajskim ogrodzie przy nieszczęsnym drzewie poznania dobra i zła. W analogicznym ogrodzie do tego, w którym zapłakana Maria-Magdalena spotyka Chrystusa-Ogrodnika, Jn. 20, 13-16. Czy Maria z Magdali jest nowotestamentowym odpowiednikiem Ewy? Przecież taką analogię stosowano raczej do Marii Matki Jezusa.

Siedząc w bibliotece spisywałam wszystkie fragmenty mające jakikolwiek związek z Marią-Magdaleną. Przydała mi się teraz ta praca, bowiem znalazłam w notatkach cytaty z kazań Grzegorza z Nyssy traktujący o tym, jak Chrystus wyznaczył Marię-Magdalenę na apostoła Radosnej Nowiny Zmartwychwstania: „On (Chrystus) chciał żeby kobieta stała się dla mężczyzn zwiastunem radości, ona która stała się dla Adama przyczyną jego nieszczęścia”.

Natomiast Raban Maur napisał: „Maria-Magdalena głosi nam o Życiu utraconym przez rodzaj ludzki za sprawą Ewy. Ewa w raju dała do picia swemu mężowi zatruty napój, a Maria-Magdalena przynosi apostołom kielich Życia Wiecznego. Ewa jako pierwsza zaznała goryczy w ogrodzie rajskim i w ogrodzie gdzie był grób Maria pierwsza widzi zwycięzcę śmierci. Uwiedziona przez zwodniczą obietnicę: Będziecie jako bogowie znający dobro i zło, Ewa staje się przyczyną upadku. Maria zaś głosi apostołom nowinę zmartwychwstania Mesjasza”.

Kombinacje systematyczne zgadzają się w jakiś sposób z wnioskami wyprowadzonymi metodą analogii. Przypadek? Być może. Muszę sprawdzić, czy w ikonografii Maria-Magdalena jest przedstawiana w rajskiej scenerii obok Ewy.

12 listopada

Nocą zapał kogut. Jak normalny kogut ma czelność hałasować w środku nocy? W samym centrum Paryża? Ależ w Paryżu nie ma kogutów; są tłukące rano koszami na śmieci konsjerżki, skrzypiące rolety sklepów, ale nie piejące koguty. Przerażliwe kukurrryku przeszło w znajome drrr telefonu. Obudziłam się, doceniając poetyckość snu zamieniającego mechaniczny dzwonek w sielską pieśń drobiu.

- Allo?

- Słuchaj, ułożyłam świetną bajkę! - oznajmił ktoś radosnym głosem.

- Wojtek? Wiesz co, bajki opowiada się może i na dobranoc, ale ja właśnie śpię. Zadzwoni jutro.

- Ale to nie jest zwykła bajka. To jest bajka niedojebajka.
- Daj mi spokój - próbowałam skończyć nedorzeczną rozmowę.

- Trzy minuty, posłuchaj - poprosił Wojtek. - Bajka Niedojebajka: Rycerz Bożybłąd jechał przez las, w którym od niepamiętnych czasów rozlegał się tajemniczy dźwięk dup, dup. Dzielny rycerz postanowił rozwiązać zagadkę owego tajemniczego dup, dup. Niestety, minęło wiele lat a rycerz Bożybłąd nie rozwiązał dręczącej go tajemnicy. Co więcej, nigdy nie rozwiązał zagadki tajemniczego lasu, w którym słychać było dźwięk dup, dup.

- Koniec. Dobrze, nie? - upewniał się Wojtek.
- Uwielbiam cię niedojebajkopisarzu. Dobranoc - odłożyłam słuchawkę.

Cały dzień był podobny do niedojebajki Wojtka. Najpierw próbowały mnie zgilotynować drzwi w metrze, a potem dałam się namówić na spotkanie klubu antropologów.

Przysłuchując się kilku poprzednim spotkaniom, nie miałam tym razem ochoty marnować czasu. Nie interesują mnie problemy feministek, homoseksualistów czy zwierzenia faceta czującego się lesbijką. Przewodniczący klubu, zajmujący się ekologią i pojęciem represji w kulturze europejskiej, przekonywał mnie, że dzisiaj mają coś specjalnego, szalenie interesującego, nowatorskiego i w ogóle bomba.

W sali zebrań siedziało kilkanaście osób, krzesła ustawiono po okręgu, trudno więc było się zorientować, kto jest zaproszoną rewelacją. Szef klubu zaczął oczywiście mówić o równouprawnieniu homoseksualistów, lesbijek, umożliwieniu więźniom prowadzenia normalnego życia płciowego, o obalaniu przesądów, szkodliwych mitów. Niespodziewanie zmienił temat i przypominał historię japońskiego studenta, który będąc w Paryżu na kursie językowym zaprosił do siebie pewnego wieczoru holenderską koleżankę. Zaprosił ją na kolację, dosłownie na kolację, bo po uroczym wieczorze pokroił na kawałki i częściowo zjadł. Resztę ciała schował do lodówki.

- Japończyk został uznany za obłąkanego, ale termin szaleństwo nie jest czymś umownym? Czyż nasze społeczeństwo nie zamyka w szpitalach psychiatrycznych tych wszystkich, których osobowość nie ogranicza się do arbitralnych ram normalności? - oskarżycielsko pytał społeczeństwo przewodniczący klubu. - Ludzki organizm zachowuje wiele cech recesywnych, które mogą się ujawnić dosyć niespodziewanie. Społeczeństwo jest także swego rodzaju organizmem. Można się więc spodziewać, że społeczność ludzka, będąca nawet na bardzo wysokim poziomie rozwoju, zachowa pewne cechy recesywne objawiające się niejednokrotnie gwałtownie, choć nie w dużej skali, a poprzez pojedyncze przypadki. Te pojedyncze akty, jak ilustruje nam to wspomniany przykład japońskiego studenta, kwalifikowane są jako czyny osób niepełnosprawnych umysłowo lub częściej jako akty kryminalne.

Społeczeństwo chce zapomnieć o swej gatunkowej przeszłości i traktuje represywnie osobników będących żywym wspomnieniem czasów, gdy kanibalizm był praktykowany rytualnie i

stanowił po prostu część obrzędów religijnych. Rytualny kanibalizm miał swe źródło w rzeczywistej potrzebie uzupełniania menu naszych prehistorycznych przodków mięsem ludzkim. Wymagał tego prawdopodobnie nasz pierwotny metabolizm i wymaga nadal u pewnych osobników powiedzmy... recesywnych. Jest to fakt potwierdzany coraz częściej przez kroniki kryminalne.

Przełamy współczesne przesady i pomóżmy naszym bliźnim, którzy zachowali w sobie pierwotny metabolizm, wspólny niegdyś nam wszystkim.

Zaprosiliśmy na dzisiejsze spotkanie François, który opowie nam o swych przeżyciach - przewodniczący wskazał na trzydziestoletniego faceta o zapadniętych policzkach i podkrążonych oczach. François podniósł się, uklonił i usiadł z powrotem w swym wygodnym fotelu. Przewodniczący zachęcał François do zwierzeń. - Bardzo prosimy powiedz nam o swych kłopotach, jesteś wśród ludzi, którzy chcą ci pomóc, którzy na pewno cię zrozumieją.

François nadal milczał, ale chyba popadł w głębsze zamyślenie, bo zaczął jak większość Francuzów w takiej sytuacji dłużyć w nosie. Po chwili ocknął się, popatrzył na uśmiechniętego przewodniczącego i jakby sobie coś przypomniał:

- Nie, nie jestem wierzący, no może czasami, ale raczej nie. Od kilku lat miewam głód, głód czegoś, czego jeszcze nigdy nie jadłem. Zobaczyłem kiedyś przejechaną przez ciężarówkę starszą kobietę, to było latem, ciało jeszcze parowało i zrozumiałem, że mój głód to głód ludzkiego ciała i ludzkiej krwi - Wyznał François i zamilkł.

- Czy zaspokoiliś kiedyś tę swoją potrzebę? - zapytał jeden ze studentów.

- Tak - odpowiedział krótko François - ale potem się bałem, że ktoś mnie na tym przyłapie.

- Czy mógłbyś opowiedzieć dokładniej, jak zaspokoiliś swoją potrzebę - dociekliwie pytał ten sam student. François popatrzył niepewnie na terapeutycznie uśmiechniętego przewodniczącego.

- Czasami pracowałem jako pomoc szpitalna na oddziale chirurgicznym. Ale naprawdę wybierałem to, co zostało po operacjach i już nikomu się nie przydało.

- Czy ten głód opanowuje cię często? - zapytała dziewczyna robiąca pilnie cały czas notatki.

- Raz, dwa razy do roku, chyba.

- Możesz dokładnie określić porę roku lub miesiąc? - padło bardzo szczegółowe pytanie.

- Nie wiem - szczerze odpowiedział François.

- A czy gdyby nie uboczne korzyści z twej pracy, to czy mógłbyś napaść na kogoś, ot tak na ulicy? - zaniepokoiła się nienaukowo dziewczyna o dosyć obfitych kształtach.

W tym momencie przewodniczący podziękował François i zwrócił się do nieco skonfundowanego audytorium:

- Koledzy, proponuję podpisać petycję domagającą się udostępnienia w szpitalach i ośrodkach medycznych specjalnych przychodni dla ludzi takich jak François. Myślę, że jest to

konieczne z kilku powodów. Po pierwsze; pozwoliłoby to zaspokoić w humanitarny sposób tę recesywną potrzebę. Poza tym uniknęłoby się dzięki temu niepożądanych przez społeczeństwo przypadków naruszania prawa. Po drugie; zdejmie się z tych ludzi kompleks nienormalności. Wszyscy w końcu rozumieją, że kanibalizm jest jeszcze jednym z przejawów bogactwa natury homo sapiens. Zresztą taka akcja pozwoliłaby nam, antropologom na dogłębne, laboratoryjne wręcz zbadanie tego interesującego zjawiska. I po trzecie; dystrybucja białka ludzkiego, nikomu już niepotrzebne, jak to określił François, będąca pod kontrolą medyczną uchroni jego konsumentów przed zakażeniem AIDS. Proponuję założyć komitet obrony kanibalizmu recesywnego i...

Wysłałam z zebrania nie dlatego, żebym miała coś przeciwko obronie kanibalizmu recesywnego.

Nawet wzruszyła mnie historia François, ale nie lubię przynależać do komitetów będących zalegalizowaną i skostniałą formą aktywności społecznej.

15 listopada

Najlepszą pracą poświęconą ikonografii Marii-Magdaleny jest książka Mademoiselle Madeleine Delpierre. Książka ta pozostała w rękopisie i znajduje się w bibliotece Luwru. Nie jestem studentką Szkoły Luwru więc nie mogę korzystać z jej wspaniałego księgozbioru. Próbuję przekonać jednak bibliotekarza, żeby pożyczył mi do czytelnicy tę jedną jedyną książkę, której nigdzie indziej nie można dostać.

- Nie wolno. Musi się pani zapisać do Szkoły Luwru.

Nie mam ochoty zapisywać się do tej snobistycznej szkółki dla panienek z dobrych domów. Ale co innego mi pozostało.

- Dobrze, zapiszę się na jeden semestr. Gdzie jest sekretariat?

- Niestety, teraz mamy połowę listopada i nie przyjmuje się nowych studentów - poinformował mnie z satysfakcją bibliotekarz.

- No to jak? Żeby wypożyczyć książkę muszę się zapisać, ale zapisać się nie mogę bo już jest za późno.

Bibliotekarz wzruszył ramionami i poszedł jeść nieśmiertelne *petit déjeuner*. Pani, która go zastępowała powiedziała, że nie muszę się nigdzie zapisywać. Ten jeden, jedyny raz mogę przeczytać książkę w czytelni. Praca Mademoiselle Delpierre, napisana w roku 1947, okazała się być pracą doktorską i znajdowała się według katalogu w archiwum biblioteki czyli w zupełnie innym budynku. Przeszłam przez Cour Carrée, dostałam przepustkę i dotarłam do archiwum. Bardzo sympatyczna pani przejrzała katalog, w którym wyczytała że praca Mademoiselle Delpierre znajduje się w bibliotece Muzeum Galliera.

Cóż przyjemniejszego, jak przejechać się metrem, między stacjami Luwr i Jena. Na miejscu dowiedziałam się, iż Muzeum Galliera jest „Muzeum Mody i Stroju”, a do biblioteki można wejść wyłącznie po wcześniejszym (przynajmniej o dzień) zaanonsowaniu się sekretarce. Zrobiłam cierpiętniczą minę cudzoziemca spieszącego się właśnie na samolot do swego zamorskiego kraju i w końcu portier pozwolił mi wejść.

Panie bibliotekarki, zdumione moim pytaniem o pracę Mademoiselle Delpierre stwierdziły, że w Luwrze na pewno ktoś się pomylił, bo one żadnej książki o Marii-Magdalenie nie mają. Wracam do Luwru, telepiąc się pół godziny zatłoczonym metrem. Przepustka, Cour Carrée, bardzo uprzejma pani jeszcze raz sprawdza katalog i odsyła mnie z powrotem do Muzeum Galliera. Tam ponownie pertraktacje z portierem i znowu zdumione panie bibliotekarki, ale tym razem zdumione nieco rozsądniej: - Jak u nas w muzeum stroju może być książka o świętej i w dodatku o świętej, której jedynym strojem były jej włosy.

Mocny argument, ale nie mam siły wracać do Luwru. Namawiam panie do poszperania w katalogu, lecz ku memu zdziwieniu dzwonią do dyrektorki Muzeum. Po chwili dyrektor zjawia się osobiście w postaci uroczej starszej pani przedstawiającej się mi jako Mademoiselle Delpierre.

Miałam ogromne szczęście, że Mademoiselle Delpierre jeszcze cieszy się dobrym zdrowiem i pracuje, w przeciwnym razie nigdy bym nie mogła przeczytać doktoratu, który przechowuje u siebie w prywatnym mieszkaniu a nie, jak to mylnie informują katalogi, w bibliotece Muzeum Galliera.

Oplaciło się poszukiwanie pracy Mademoiselle Delpierre. Dzięki niej znalazłam fotografię dwunastowiecznego portalu kościoła w Neuilly-en-Donjon, na którym przedstawiono zarazem Marię-Magdalенę i Ewę. Po lewej stronie płaskorzeźby - Adam i Ewa w Raju jedzący owoc zakazany: Grzech. Po prawej - uczta u Szymona, Maria-Magdalena jawnogrzesznica pochylona przed Chrystusem namaszcza olejkiem Jego stopy: Pokuta. Poniżej Madonna trzymająca Dzieciątka i Trzej Królowie oddający Mu pokłon.

Komentarz pod opisem portalu: Jest to najbardziej rozbudowana scena namaszczenia stóp Chrystusa. W średniowiecznej sztuce francuskiej scenę tę ograniczano do przedstawienia Marii-Magdaleny i Jezusa pomijając pozostałe postacie.

Jeśli para Adam-Ewa była dla gnostyków alegorią androgyniczności, to jaką rolę odgrywa w tej symbolice Maria-Magdalena porównywana do Ewy? Stopy, głowa, wieża, Maria z Magdali, Maria Matka Jezusa, Ewa. A jak rozumieć następujący fragment Księgi Rodzaju: „Wprowadzam nieprzyjaźń między ciebie a niewiastę, pomiędzy potomstwo twoje a potomstwo jej: ono zmiążdży ci głowę, a ty zmiążdżysz mu piętę”. Musi istnieć proste wyjaśnienie, ale jak na nie trafić? Mario-Magdaleno pomóż, bo sama nic tu nie wymyślę.

17 listopada

Po przyjeździe do Francji spotykałam Polaków nie mieszkających w kraju od czasów stanu wojennego i Polaków będących zagranicą od paru miesięcy czy dni. Jedni i drudzy zadawali mi to samo pytanie - „A co tam w Polsce, co nowego? Jak tam jest teraz?” W zależności od zainteresowań i dociekliwości pytającego wydłubywało się wspomnienia sprzed kilku lat lub tygodni. O cenie sera, dolarów, o tym jakie to były zadymy w Hucie, wspomnienia do wyboru do koloru. Jedno ze wspomnień jest tak fotogeniczne, filmowe, że aż kiczowate:

Maj 88. ZOMO weszło nocą do strajkującej Huty; pobici robotnicy, niesprawdzone ale bardzo prawdopodobne wieści o zabitych i ciężko rannych. Na Uniwersytecie Jagiellońskim wiec, w czasie którego mamy przegłosować czy rozpoczynamy strajk solidarnościowy, czy idziemy do domu. Przemówienia o jakiejś racji stanu, o bezsensownym narażaniu substancji (chyba narodowej, nie usłyszałam dokładnie), przed Collegium Novum stoi ciężarówka pełna osiłków z Brygady Antyterrorystycznej.

Pytany o radę hutnik mówi, że nie może za nas decydować. Huta mimo koszmarnej nocy strajkuje nadal i strajk Uniwersytetu w środku miasta byłby czymś sensownym. Część tłumu chce strajkować, część nie chce. Ci, którzy przynieśli jedzenie i spiwory próbują przekonać realistów do zostania. Wszystko jak w koszmarnym śnie, to co powinno być logiczne i rzeczywiste znika, słychać już tylko z głośników prośby o spokój, rozagę i wybranie innej formy oporu. Ktoś wymyślił, żeby wysłać telegram do Papieża. Absurd, ale prawie nikt się nie śmieje, układają zdania informujące o łamaniu prawa i naszej studenckiej niezgodzie na taki stan rzeczy.

Wieczorem w miasteczku akademickim ogłoszono strajk. Dość dziwny pomysł strajkowania w akademikach, ale jest nadzieja, że po pewnym czasie przeniesiemy się do Collegium Novum. Niewielu chce coś robić, plakatować miasto, pomagać rodzinom pobitych hutników, rzucać ulotki. Większość zostaje w pokojach i wkuwa do sesji albo wynosi się do domu w strachu, że ZOMO wejdzie do akademików. Siedzimy w „Akropolu” próbując robić transparenty: polonista i historyk wymyślają napisy, ja szukam ludzi umiających czytelnie pisać i filozof Lemke - fizyczny, wspinający się po gzymsach i parapetach naszego kilkunastopiętrowego akademika by przymocować gotowe już, wymalowane na prześcieradłach transparenty. Jak później się okazało, filozof Lemke miał oczy zakropione atropiną i był w lekkim szoku (wstrząs mózgu) po utarczce z policją.

Bardzo szybko skończyły się nam farby. Noc, sklepy zamknięte a do rana trzeba oplakatować mury. Biegaliśmy po pokojach prosząc o przynoszenie do świetlicy plakatówek, pisaków, akwareli, czegokolwiek czym można robić napisy. Po godzinie poszłam zobaczyć czy ktoś w ogóle cokolwiek przyniósł. Znalazło się kilka wyschniętych farb i dość duże pudełko, a w

pudełku... kilkanaście pomadek do ust; różowych, czerwonych, ceglanych, na w pół zużytych, dopiero co otworzonych. Gdybym była chłopakiem być może nie doceniałabym gestu tych dziewczyn z „Akropolu”. Ale kilkanaście pomadek, w roku 88 w Polsce, gdzie kupienie naprawdę dobrej szminki firmy Celia czy Pollena, dzięki której usta przypominałyby choć trochę usta modelek z „Vogue”, a nie charakteryzację Lady Macbeth w ostatnim akcie, było przedsięwzięciem wymagającym szczęścia, czasu i przede wszystkim niemałego wydatku w porównaniu z otrzymywanym stypendium. Szminki były używane, więc te ulubione, starannie dobrane i zdobyte po odstaniu kolejki przed sklepem kosmetycznym.

Zabrałam pudełko dla siebie i jest jedyną rzeczą „z przeszłości”, którą przechowuję w moim rodzinnym domu w Polsce. Nigdy nie mogłam zgromadzić żadnych rzeczy. Ciągłe się przeprowadzając zostawiałam garnki, rysunki, obrazy, książki. W ciągu kilku lat zmieniałam mieszkania, pokoje chyba dwadzieścia razy i książki były zawsze największym kłopotem, więc zrezygnowałam z robienia prywatnej biblioteki. Jeśli nieopatrznie kupiłam jakąś książkę, przy kolejnej przeprowadzce oddawałam ją znajomym, by tuczyła ich półki i szafy. We Francji konsekwentnie książek nie kupuję. Mimo pokusy kolorowych okładek, niewielkich formatów wolę chodzić do bibliotek niż do księgarń.

Mój dom miał zawsze pięć minut - tyle ile potrzeba na zapakowanie dużego plecaka. Pudełko pełne kolorowych szminek wzięłam specjalnie „na pamiątkę” bo było ono czymś tak dziwnym, że mogło być komentarzem do tamtego czasu, czasu niby jakby powiedział poeta Krzepicki.

20 listopada

W bibliotece przy Sèvres Babylone można siedzieć godzinami. Czytelnię zapełniają szafy wydań dzieł kompletnych Ojców Kościoła, a na zapleczu stoją pokryte kurzem dwie ogromne półki wydawnictw ezoterycznych. Na parterze można kupić herbatę, kawę, czekoladę. Pełen komfort zachęcający dyskretnie do pracy.

Sięgnęłam dzisiaj znowu do pism świętego Hieronima i trafiłam na zdanie: „Niech nikt nie myli tej kobiety, która namaściła głowę Chrystusa perfumami z tą, która obmyła mu stopy” i dalej: „Ta druga obmyła mu stopy łzami i osuszyła swymi włosami - nazywa się ją otwarcie kurtyzaną. Co do tej pierwszej tekst nie mówi o niej nic podobnego. Kurtyzana nie mogłaby dotknąć głowy Pana”. Mimo że w Ewangelii Jana 11,1-3 jest jednoznacznie napisane: „Maria zaś była tą, która namaściła Pana olejkami i włosami swoimi otarła Jego nogi”. Orygenes pisze to samo co św. Hieronim dodając jeszcze, że grzesznica musiała obmyć stopy Chrystusa, święta natomiast Jego głowę. Dom Szymona dotkniętego trędem, w którym miała miejsce scena namaszczenia stóp Chrystusa napelniony był według Orygenesusa odrażającym zapachem mającym symbolizować

panowanie zła w świecie. „Sądzę, pisze Orygenes, że trędowaty jest postacią demoniczną, to księżę tego świata”.

Szymon, kurtyzana, święta. A czyż Helena, ubóstwiona Idea nie była kurtyzaną zanim Szymon Mag odnalazł ją w domu rozpusty i uznał za wcielenie Wiecznej Kobiecości. Oczywiście Orygenes pisząc o Szymonie, który gościł w swym domu Chrystusa i pokutującą kurtyzane, nie miał na myśli Szymona Maga. Ale być może tak kategoryczne rozdzielanie postaci świętej i jawnogrzesznicy w pismach Orygenesusa i św. Hieronima miało jakiś związek z herezją szymonian, może było obroną przed nią. O Szymonie Magu i Helenie powinienam coś znaleźć w książkach Cullmanna i Quispela.

21 listopada

Quispel: Helena w gnozie szymonian (II w. n. e.) uznawana była za ideę stwórczą, żeński aspekt Boga. Przedstawiano ją z pochodnią w ręku jako tą, która pokazało światło demonom chaosu.

Rzecz dla mnie bardzo interesująca: Helena, by potwierdzić swą boskość, ukazała się wyznawcom jednocześnie w kilku oknach wieży. Quispel wykorzystuje ten fakt, by wyjaśnić skąd się wzięła „zła opinia” Heleny: W Antyku wieża (gr. *purgos*) służyła jako pomieszkowanie (*tegos*). Jeśli szymonianie mówili, że Helena stała na wieży (*epi purgou*) to mogło być równie dobrze zrozumiane jako stanie na dachu domu, co było równoznaczne w języku greckim z oddawaniem się prostytucji.

Niewiele mi się na razie wyjaśnia, ale pewne zbieżności są zadziwiające. Wieża (hebr. *MiGDoL*) mogła się kojarzyć w języku greckim, a jest to język w którym spisywano Ewangelie, z prostytucją.

Quispel pisze, że Helena symbolizowała duszę, która upadła w świat ciemności, gdyż kierowała nią pożądlivość. Kurtyzana, pożądlivość, cudzołóstwo - wszystko to się wiąże w logiczny ciąg alegoryczno-symboliczny. Przyczyną upadku Sophii gnostyków, podobnie jak Heleny (gnoza szymonian miała swój początek w czasach przedchrześcijańskich), jest także „pożądlivość”. Upadła dusza (metafizycznie), kobieta upadła (moralnie) - ciekawa analogia. Tłumaczy ona chyba popularność Marii-Magdaleny w niektórych kręgach gnostyckich: Maria-Magdalena, będąc kurtyzane czyli kobietą upadłą, stanowiła odpowiednik Sophii, uwięzionej w świecie ciemności. Tak jak i Sophię, Marię-Magdalene ratuje Chrystus uwalniając ją z grzechu. Upadła Sophia jest prześladowana przez siedmiu archontów, podobnie jak Maria-Magdalena przez siedem duchów nieczystych.

W gnozie walentyniańskiej upadła Sophia pragnie powrócić do królestwa światłości. Miejscem jej pobytu jest *Pathos* (gr. cierpienie). Ojciec litujący się nad losem Sophii wysłał Chrystusa by uwolnił ją z *Pathosu*.

Czy istnieje tu pewna analogia do losów Marii-Magdaleny? Chyba tak, bowiem i Maria-Magdalena przebywa w domu cierpienia, jak można by przetłumaczyć hebrajskie słowo Betania. Chrystus jeden jedyny raz przybywa do Marii (tak jak Chrystus przybył do cierpiącej Sophii) i miejscem tym jest właśnie Betania. Zazwyczaj to Maria-Magdalena podąża za Mistrzem; przychodząc do domu Szymona, idąc za nim aż na szczyt Golgoty. To ona pierwsza biegnie do grobu Chrystusa, a gdy słyszy Jego głos jeszcze musi się odwrócić i postąpić krok naprzód usiłując Go dotknąć. Tylko dwa razy mówi się w Nowym Testamencie o tym, że Chrystus idzie w kierunku Marii-Magdaleny. Za pierwszym razem jest to scena poprzedzająca wskrzeszenie Łazarza w Betanii. Ale wczytując się w tekst można zauważyć, że jednak i tym razem Maria-Magdalena idzie do Mistrza, a miejscem ich spotkania nie jest Betania: Jn. 11.28-31 „... [Marta] przywołała po kryjomu swoją siostrę, mówiąc: Nauczyciel jest i woła cię. Skoro zaś tamta to usłyszała, wstała szybko i udała się do Niego. Jezus zaś nie przybył jeszcze do wsi, lecz był wciąż w tym miejscu, gdzie Marta wyszła Mu na spotkanie”.

W takim razie można uważać, że Chrystus zmierza w kierunku Marii-Magdaleny tylko raz; w scenie uczyty w Betanii; Łk. 10.38-40: „W dalszej ich podróży przyszedł [Chrystus] do jednej wsi. Tam pewna niewiasta, imieniem Marta, przyjęła Go do swego domu. Miała ona siostrę imieniem Maria, która siadła u nóg Pana i przysłuchiwała się Jego mowie”. W czasie tej uczyty Maria „...obrała najlepszą część, której nie będzie pozbawiona”.

Czy rzeczywiście taka symbolika była oczywista dla gnostyków czytających „Ewangelię Marii-Magdaleny”, czy też jest to mój wymysł - zabawa słowami (*Pathos*, *Betania*), zonglerka cytatów i analogii.

Zostaje jeszcze zagadka świętej kurtyzany (Marii z Magdali), ubóstwionej ladacznicy (Helena).

24 listopada

W każdy piątek po seminaryjnej analizie, strona za stroną dzieł Rąbana Maura, porzucam fascynujące średniowiecze i przenoszę się za pomocą windy, trzy piętra wyżej do sali 802, w nie mniej ciekawą współczesność. Siadam na parapecie, jeśli się spóźnię szukam wolnego miejsca na podłodze i przez dwie godziny podziwiam apokaliptyczną walkę Prawdy z Kłamstwem, Faktów z ich Interpretacją. Sceną tych zmagania jest cotygodniowe seminarium profesora Alaina Besançon, a ich uczestnikami profesor wraz z grupą swych zwolenników oraz jego przeciwnicy skupieni wokół sowietologa Władimira Berelowicza. Wszystkie dyskusje dotyczące wojen na Bliskim Wschodzie

lub suszy w Afryce są tylko pretekstem do poruszenia kwestii fundamentalnej: czy pierestrojka jest wyłącznie manewrem mającym wzmocnić władzę Gorbaczowa, czy też rzeczywistym końcem komunizmu. Każde posunięcie polityczne Gorbiego jest interpretowane przez grupę prof. Besançona według wykładni: prowokacja, sprytna przemyślana prowokacja. Zwolennicy Berelowicza natomiast twierdzą, że pierestrojka jest końcem prowokacji i wszystko idzie na lepsze oprócz sposobu myślenia besanconowców. Jeśliby ten schemat podziału uprościć, wzbogacając zarazem interpretację spojrzeń rzucanych sobie nawzajem w czasie dyskusji przez adwersarzy, to można by się ośmielić zgadnąć, co uczestnicy seminarium wzajemnie o sobie myślą. Mianowicie grupa Besançona powołując się na fakty polityczne i znakomicie argumentując swe opinie, spogląda na swych seminaryjnych przeciwników z wyrazem wyższości i lekkiej odrazy, posądzając ich o niedoinformowanie, zwiedzenie przez propagandę lub po prostu o kryptobolszewizm. Grupa Berelowicza zaprawiona w bojach dyskusyjnych, komentując te same fakty nadaje im przeciwną interpretację i rzuca spojrzenia w kierunku prof. Besançona oraz jego sympatyków mające wyrażać współczucie, politowanie - ot, ofiary paranoi.

Z tym, że popadamy tu w pewną pułapkę; jeśli rzeczywiście sposób myślenia besanconowców trąci o paranoję to jednak racja jest po ich stronie, bowiem w myśl zasad metodologii używają narzędzia adekwatnego do przedmiotu poznania, a komunizm jest bez wątpienia tworem paranoidealnym.

W Berlinie rozsypuje się Mur, grupa Berelowicza triumfuje: a nie mówiliśmy, komunizm kruszeje, widzicie teraz, że mamy rację. Na co grupa prof. Besançona replikuje: zobaczycie, że przez ten Mur Rosjanie wejdą do Niemiec. Oglądamy właśnie początek dyskretnego neutralizowania i wchłaniania Europy Zachodniej.

Spór toczy się w towarzystwie emerytowanych konsulów, doradców politycznych, renomowanych dziennikarzy oraz kilku studentów o niespotykane bogate wyobraźni. Kibicuję jednemu z takich młodzieńców ubarwiając jego fabuły realiami z życia Europy Wschodniej. Ostatnio zasugerował on, że Czarnobyl jest pierwszorzędną wykorzystaną klęską, gdyż w odpowiednim momencie ZSSR może zaszantażować Europę odblokowaniem zasypanych reaktorów.

Emerytowani konsulowie także opowiadają ciekawe historie, z tym, że nie z przyszłości a z przeszłości, wspominając swą pracę na placówkach. Jeden z konsulów przyjechał niedawno z Zimbabwe, gdzie AIDS jest chorobą tak popularną jak u nas katar jesienią. W opustoszałych wioskach snują się tylko starcy i małe dzieci. Jak wiadomo, nie wynaleziono jeszcze leku na tę chorobę, ale od czego osiągnięcia medycyny ludowej? Otóż pewien szaman wymyślił, że skutecznym sposobem pozbycia się tej choroby jest zgwałcenie białej kobiety. Kiedy kilku chorych spróbowało tej kuracji na ulicach Harare, wszystkie białe kobiety opuściły Zimbabwe. Logicznie

myśląc przyszła teraz kolej na białych mężczyzn, bo czemu by nie uznać, że najlepszym lekarstwem na AIDS jest zgwałcenie białego mężczyzny w zastępstwie białej kobiety.

Inna historia miała miejsce w Kongo, gdzie któryś z tamtejszych kacyków po uzyskaniu dyplomu szkoły katolickiej dał się nawrócić na marksizm by zabezpieczyć swą władzę zarówno z prawa jak i z lewa. Niestety jego przyspieszona europeizacja nie spodobała się współplemieńcom. Pewnego dnia szaman zaczął odprawiać jakieś czary i kacyk zniknął, fizycznie zniknął.

Po seminarium idę znów do biblioteki, ale nie ma co przeglądać różnych książek licząc wyłącznie na przypadek. Trzeba działać według metody. Metoda polega na ciągłym myśleniu o jakiejś kwestii. Nawet, gdy się o niej od czasu do czasu zapomina, umysł nasz dalej pracuje nad tym, co mu zadaliśmy i jak bardzo powolny komputer daje w końcu odpowiedź: Jeśli chcesz wiedzieć dlaczego istniało tak łatwe przejście od postaci prostytutki do postaci świętej, pomyśl o kulcie Wielkiej Bogini czczonej w Syrii i Palestynie, czyli tam, gdzie żyły Maria-Magdalena i Helena. Biorę książkę Jamesa o Bogini Matce. W rozdziale o Bliskim Wschodzie znajduję, że już w Epoce Brązu na terenie Palestyny oddawano cześć Wielkiej Bogini. Z zachowanych przekazów wiadomo, że nazywano ją prawdopodobnie Anat, Asherat, Astarte lub Asharoth. W Syrii i Palestynie kult Bogini był zawsze związany z obyczajem świątynnej prostytutki. W Izraelu czczono razem Asherat i Baala - boga płodności. Od czasów gdy kult Jahwe zaczął wypierać kult Baala rytuały uprawiane przez świątynne prostytutki zaczęły powoli zanikać. Ale sam kult przetrwał aż do epoki po Exodusie, mimo wysiłków Jozajasza, który zniszczył apartamenty świątynnych prostytutek praktykujących swe obrządki ku czci Asherat w Świątyni Jerozolimskiej (II Ks. Królewska 23.7). Jeżeli nawet nie akceptowano więcej wynajmowania świątynnych prostytutek, to pieniądze zarobione przez nie składane były ku czci Jahwe (Deut. 23.18).

Kapłanki Astarte - świątynne prostytutki, czyli „święte ladacznice”. W słowniku biblijnym znalazłam, że prostytutka to synonim idolatrii. *Kadosz* V7]1p albo *kadosza* fT\U 7~1 oznaczają chłopca lub dziewczynę, którzy czczą idole poświęcając im swoją niewinność i cudzołożąc. Słowo oznaczające świętość, rytuał, oczyszczenie brzmi także *kadosz* V7]lp. Podwójne znaczenie słowa *kadosza* (świętość, prostytutka) zachowało w sobie historię przejścia od świątynnego kapłaństwa wyznawczyń Astarte do uznania ich za zwykłe prostytutki.

Święta - prostytutka, cóż łatwiejszego (Szymon Mag mówił po hebrajsku) jak to przejście pomiędzy identycznie brzmiącymi słowami *kadosza*.

W gnozie dusza ludzka jest duszą „upadłą” i wznosi się ku *Pleromie* osiągając doskonałość. Maria-Magdalena, grzesznica z Wieży pokutowała, by wnieść się ku doskonałości.

Dzięki dzisiejszemu odkryciu mogę nie tknąć żadnej książki przez kilka dni. Daję sobie zasłużony tygodniowy urlop.

1 stycznia 90

Mój pierwszy Sylwester w Paryżu. Byliśmy z Cezarym niedaleko Łuku Triumfalnego, trudno określić czy na balu, zabawie czy przyjęciu, bo wszystko zależy, o którym momencie imprezy się mówi. Przed północą wpadł Major, chwycił megafon i pobiegł robić happening na Champs Elysées. Po noworocznym toaście poszliśmy zobaczyć sylwestrowe szaleństwo na ulicach. Szaleństwo ciągnęło się od Placu Gwiazdy aż do Placu Concorde całując wszystkich napotkanych przechodniów. By nie być zmuszonymi do obcałowywania się z mijającymi nas radośnie rozśpiewanymi Francuzami, Algierczykami i wycieczkami Amerykanów, brnęliśmy przez tłum namiętnie się obejmując. Darząc się trwającymi kilka metrów pocałunkami niewiele widzieliśmy: parę Amerykanów opatulonych jednym skafandrem kochających się na siedząco tuż koło Łuku Triumfalnego; rząd kilkunastu panów w wieku od dziesięciu do pięćdziesięciu lat obsikujących zgodnie narożnik eleganckiego domu. Mniej niż my widzieli na pewno kierowcy samochodów, które ugrzęzły w tłumie. Po szybach wozów spływał szampan, od czasu do czasu ktoś życzliwy próbował całować pasażerów poprzez szczelnie zasunięte szyby.

Roześmiani Włosi wysiedli ze swego wycieczkowego autobusu, rozbujali go i przewrócili krzyżąc: *Viva Italia!* Byli tak kompletnie pijani, że uśmiechali się błogo do biegnących ku nim chłopców z CRS-u.

Wycofaliśmy się na imprezę.

10 stycznia

Ora et labora, labora, labora. Po feriach trudno wrócić do książek. Próbuję zrobić trochę notatek w bibliotece, ale co chwilę schodzę na dół napić się herbaty i pogadać. W południe zrezygnowałam z jakiegokolwiek pracy, postanowiłam zjeść obiad w Mac Donaldzie. Niosąc tacę z jedzeniem pośliznęłam się i rozsypałam, rozlałam całe drugie danie. Na dodatek lody były w czymś, co roztrzaskało się na kawałki. Podbiegł do mnie natychmiast pan z obsługi i skierował do kasy. Miałam przy sobie tylko pięć franków. Panienska w kasie nie zażądała ode mnie żadnych pieniędzy za szkody, wręcz przeciwnie, nałożyła na moją tacę to samo co zamówiłam poprzednio i jeszcze przeprosiła za śliską podłogę, na której tak łatwo stracić równowagę. Lenistwo jest grzechem, a grzeszyć najprzyjemniej w towarzystwie, zadzwoniłam więc do Cezarego namawiając go na kino. Kupiliśmy białe bordeaux i popijaliśmy je oglądając „Moje noce są piękniejsze od waszych dni” Żuławskiego. Historia trzydziestoletniego informatyka-arystokraty dowiadującego się, że jego mózg zzerany jest przez nowotwór, taki mniej więcej pomysł, a potem już tylko Żuławski: cudowne obrazy, szaleństwo, traktaty metafizyczne i wszystko na koniec utopione w kołyszącym się uspokajająco oceanie.

„Diabeł” Żuławskiego jest najlepszym polskim filmem. Arcydziełem geniuszu ludzkiego i nieludzkiego, nie na gusty wychowanych na filmach moralnego niepokoju. Diabeł? Film symboliczny? Pokazać wnętrze wieżowca i fiata 126 p plus rozterki szlachetnego Maliniaka co nie chce wziąć łapówki - to jest zrozumiałe, ale pokazać wnętrze duszy, nie sumienia a duszy, tego pokazać się nie da, bo tego nie ma. Maliniak jest, duszy Maliniaka nie ma. Nie mam nic przeciwko filmom moralnego niepokoju, mam jedynie żal do filmów, które nigdy nie powstały, bo były zbyt piękne by być zrozumiałe. „Diabeł” to film metafizyczny, historyczny, współczesny (marzec 1968). Zdarzenia sprzed dwóch wieków i sprzed kilku lat łączy w nim ten sam polski nastrój - wyczerpania sił w obłądnie niemożności i usprawiedliwień ewidentnej zdrady przez rację stanu.

Skąd diabeł, skoro wszyscy stracili wolność i nie ma już kogo kusić. Główny bohater przesiedział początek pierwszego rozbioru Rzeczypospolitej w więzieniu, nie miał więc okazji zmienić jak inni poglądów i poddać swego punktu widzenia łagodnej ewolucji oślepiającej rozsądek. Żyjąc tak jakby Polska jeszcze istniała, zachowuje się jak osoba wolna, co w rzeczywistości wygląda na szaleństwo.

Do ostatniego człowieka mającego wolną wolę przystępuje diabeł i kusi. Kusi nawróceniem na odmienioną rzeczywistość. Mówiono, że „Diabeł” epatuje okrucieństwem. Przyzwyczajeni do dosłowności komiksów zapominają, iż w dziele sztuki krew bywa alegorią. Oglądając ten film z 1972 roku wydawało się jasne, że Żuławski wyjedzie z Polski - „cierpiałem za wielu”, myślałem za wielu i nic tu po mnie.

17 stycznia

Lenistwo ukarane. Dzisiaj w bibliotece ucieszona Alicja podała mi książkę specjalnie dla mnie odłożoną: „Maria-Magdalena i jej tajemnica” Jacquesa Bonneta. Przeglądam, przeglądam i już wiem, że cała moja praca na darmo. Książka Bonneta wydana była w 88; gdybym przyjechała do Francji rok wcześniej, rok wcześniej zaledwie. Teraz mój dyplom uznany będzie za plagiat. Powlokłam się do domu w nastroju dekadencym - nic więcej nie zrobię, stracone pół roku pracy. Cezary próbował mnie pocieszać:

- Czy to co piszesz jest identyczne z tekstem Bonneta?

- Tak, i on napisał więcej niż ja o wieży i o 77.

- Ale nie ma na pewno nic o Helenie, Szymonie Magu, nie ma wytłumaczenia związku między prostytutką a świętą, nie ma o Betanii.

- Nie ma, ale on też wpadł na trop Sophii i rozwinął genialnie komentarz do Pieśni nad Pieśniami - lamentowałam - nic więcej nie napiszę, za późno żeby zmienić temat, połowa roku.

- No to jak nie chcesz pisać, to marsz do roboty. Zapomniałaś już jak zmywałaś podłogi i pracowałaś nocą w uroczej fabryce konserw? - znęcał się nade mną Cezary.

- Dość mam szorowania podłóg w czyimś domu, nie nadaję się.

- A to niby czemu?

- Bo jestem za wątlą, to mię nudzi i przez ten czas zrobiłabym wiele innych pożytecznych rzeczy. Nie jestem stworzona do ciężkiej pracy. W bibliotece owszem, ale nie przy taśmie czy balii.

- Pycha w tobie iście książęca - skomentował moją obronę Cezary.

- Czemu książęca? - zainteresowałam się przypominając sobie genealogię bliższych i dalszych krewnych.

- Zapomniałaś kto jest księciem tego świata? Dość mazgajenia się. Bonnet napisał kilka książek, a ty jesteś studentką i mniej od ciebie wymagają. Poza tym on nie dal żadnej ikonografii. Musisz teraz zrobić dwie rzeczy: połączyć w jakiś sposób swe rozważania ze średniowieczem, już to zrobiłaś dając cytaty z Rąbana Maura, i wykorzystać pracę Bonneta.

- Nie mogę pisać plagiatu - zwątpiłam w wartość rad mego męża.

- Nie namawiam cię do spisywania z jego książki. Pomyśl, on dał cały rozdział o Pistis Sophii i Pieśni nad Pieśniami, a więc zwalnia cię to od tych dwóch rzeczy. Powołujesz się w bibliografii na Bonneta, że on już udowodnił pewne związki, i idziesz dalej.

Powiedziane nie znaczy zrobione, ale spróbuję.

7 lutego

Noszę wszędzie ze sobą książkę Bonneta i sprawdzam: napisał to czy nie, znalazł tę analogię czy nie.

Zaczęłam pisać o Artemis. Bonnet też oczywiście ma taki rozdział. Powołuje się w nim na orzeczenie pierwszego synodu w Efezie, według którego: „Po zmartwychwstaniu Chrystusa Jan apostoł i święta Dziewica Maria przybyli do Efezu a wraz z nimi Maria-Magdalena”. Cytuje także Strabona opisującego jak mieszkańcy Phocei uciekając przed inwazją barbarzyńców zawinęli swym statkiem do Efezu. W mieście tym była jedna z najslawniejszych świątyń Artemis. Kapłanki bogini przyłączyły się do uciekinierów i po długiej podróży dotarły razem z nimi w okolice delty Rodanu, gdzie założyły sanktuarium bogini łowów.

Na początku XX wieku przebudowując ulice Marsylii znaleziono stele Artemis pochodzące z owej świątyni dominującej kiedyś nad starym portem. Bogini efezjańska była początkowo neolityczną Boginią Matką, która w mitologii greckiej przybrała imię Artemis a u Rzymian Diany.

Zadziwiający przypadek, ale w to samo miejsce, co niegdyś statek uciekających kapłanek, przybyła do Marsylii wygnana z Efezu przez pogan Maria-Magdalena. Marsylczycy czcili świętą chrześcijańską równie gorąco, co kilka wieków wcześniej Artemis efezjańska.

James pisze, że kult Artemis w Efezie miał charakter orgiastyczny, a w jej sanktuarium praktykowano świątynną prostytutkę. Spośród wszystkich kobiecych postaci Nowego Testamentu

tylko Maria-Magdalena, sprzed swego nawrócenia, mogłaby być postacią analogiczną do kapłanek Artemis. Bonnet tłumaczy łatwość z jak Marsylczycy przyjęli nową religię pewnym podobieństwem między tym z czym kojarzyć im się mogły Artemis i Magdalena. Mianowicie słowo *ekmassein*, użyte przez św. Łukasza dla wyrażenia sposobu w jaki zapłakana kobieta wycierała swymi włosami stopy Chrystusa, sugeruje rozdzielenie włosów na dwa warkoczki. W Antyku przedstawiano Marię-Magdalенę właśnie z długimi warkoczami, a nie jak w czasach późniejszych przykrytą płaszczem rozpuszczonych włosów. Natomiast Artemis, zwłaszcza Artemis efezjańska, nazywano *euplokamos* co znaczy „o pięknych warkoczach”.

16 lutego

Na seminarium zaproszony został profesor * z Rennes. Mówił bardzo ciekawie o średniowiecznej sztuce włoskiej. Jako że był specjalistą od sztuki średniowiecznej, nie ulegało wątpliwości, że ma w pamięci każdą rzeźbę, obraz, fresk powstały między schyłkiem Cesarstwa Rzymskiego a cinquecentem. Jak nie skorzystać z tej zaproszonej skarbnicy wiedzy:

- Panie profesorze, czy w średniowiecznej sztuce włoskiej istnieją tryptyki lub portale z jednoczesnym przedstawieniem Raju oraz Marii-Magdaleny?

Chwila zastanowienia i profesor podaje dane bibliograficzne, na znalezienie których musiałabym poświęcić kilka miesięcy:

- Takie przedstawienia są bardzo rzadkie. We Włoszech, o ile się nie mylę, można mówić o dwóch. Pierwsze znajduje się w sienneńskiej Pinakotece, a drugie we Florencji w muzeum...

20 lutego

Szukam dalszych podobieństw między Artemis a Marią-Magdalенą. Jeśli nic więcej nie znajdę 1:0 dla Bonnetta.

Wyciągnęłam w czytelnicy wszystkie albumy o sztuce antycznej. W jednym z nich znalazłam zamiast zdjęć rysunki czy, jak się dawniej mówiło, sztychy. 20 stron o Efezie i kulcie Artemis. Bogini płodności, bogini łowów przedstawiona w różnych stylach, zawsze sztywno wyprostowana, otoczona zwierzętami. Wrażenie wertykalności jej postaci podkreśla jeszcze uczesanie, tzn. ozdoby wplecione w jej włosy.

W pewnym momencie nie jestem już pewna, czy to co widzę nie jest iluzją stworzoną przez oczy zmęczone pogonią za tajemnicą wieży. Czytam powoli opis pod ilustracją i rzeczywiście rzecz wieńcząca głowę efezjańskiej Artemis z Muzeum w Neapolu jest wieżą.

Maria z Magdali, Maria z Wieży, Artemis z wieżą na głowie - musi być jeszcze więcej podobieństw.

Jeśli kult Marii-Magdaleny wyparł kult Artemis to znaczy, że święta chrześcijańska musiała przejąć część „obowiązków” pogańskiej bogini opiekującej się łowami i płodnością

W „Złotej Legendzie” król i królowa Marsylii nawracają się na chrześcijaństwo, gdy otrzymują od Marii-Magdaleny obietnicę, że będą mieli syna. W roku 769 książę i księżna Burgundii, nie mogąc doczekać się potomstwa, wysyłają zaufanego mnicha na południe Francji z misją zdobycia relikwii Marii-Magdaleny.

25 lutego

Artemis - boginię łowów przedstawiano z często z sokołem w dłoni. Sokół był także ptakiem Istar. W Egipcie symbolizował wyzwoloną duszę unoszącą się do innego świata. W średniowiecznej Europie natomiast przedstawiał wyzwolenie z grzechu, a zwłaszcza z grzechu cudzołóstwa. Jeżeli sokół przypisany był Artemis i symbolizował duszę wyzwoloną z grzechu, to muszą istnieć przedstawienia Marii-Magdaleny z sokołem. W „Les saints compagnons du Christ” Emila Male’a jest wzmianka o niejakim Łukaszu z Lejdy (XVI wiek) malującym Marię-Magdalенę z sokołem odpoczywającym na jej dłoni. W Bibliothèque Nationale przechowywany jest manuskrypt z czasów Franciszka I, gdzie na kilku ilustracjach ukazano Marię-Magdalенę w czasie polowania trzymającą sokoła a także Marię-Magdalенę grającą na flecie i tamburynie. Franciszek I to co prawda już renesans, ale wyczytałam, że pierwsze wzmianki o Marii-Magdalенie z sokołem pochodzą z średniowiecznych misteriów.

Skąd pomysł ukazywania Marii-Magdaleny na polowaniu? Ani „Złota legenda”, ani inne znane mi teksty nie wspominają o polowaniach, w których święta brałaby udział. Co innego Artemis - bogini łowów. Czy sokół jako atrybut polowań mógł po prostu zmienić właścicielkę i z rąk Artemis przejść do rąk Marii-Magdaleny? Jest to bardzo prawdopodobne, skoro jeszcze w VIII wieku czczono wśród Galów tę pogańską boginię.

Innym wytłumaczeniem przedstawiania Marii-Magdaleny w czasie polowania może być konwencja sztuki dworskiej. Według Rąbana Maura Marta, Maria-Magdalena i Łazarz należeli do szlacheckiego rodu, a jak wiadomo rozrywką szlachetnie urodzonych były polowania.

Poza tym skoro w średniowieczu sokół symbolizował wyzwolenie z grzechu cudzołóstwa, to Maria-Magdalena była grzesznica, trzymająca w dłoni sokoła znakomicie pasowała do scen myśliwskich.

Nie potrafię jednak wytłumaczyć powodu, dla którego Maria-Magdalena obdarzona została przez średniowiecznego malarza tamburynem i fletem. Na instrumentach tych grywała raczej Diana, a nie chrześcijańska święta, której zwyczajowym rekwizytem był puchar wonnego olejku. Być może grająca sobie do tańca Maria-Magdalena jest grzesznicą oddającą się frywolnym rozrywkom, która jeszcze nie spotkała Chrystusa w domu Szymona.

Tak czy inaczej sokół i flet należały najpierw do Artemis-Diany.

10 marca

Przez cały pracowity tydzień siedziałam w bibliotece przy jednym stoliku z Jacquesem kończącym swoje tezy z teologii. Próbowałam go przekonać, że teologia jest po prostu psychoanalizą Pana Boga. Jacques bronił się machając rękoma i zawile coś tłumacząc niesłyszalnym szeptem. Kiedy nareszcie się zmęczył zakończył przemowę groźbą, że pójdzie do Jezuitów i naskarzy, że heretyczka zagnieździła się w ich bibliotece.

- Tereferre - wyraziłam swoje powątpiewanie. - Kościół się zreformował i gdybym przysłała tu ciągnąc diabła za ogon przebrana za guerillos groziłby mi co najwyżej nudny dyskurs na temat teologii wyzwolenia. Ale gdybym nagle zaczęła mówić po łacinie jak biskup Lcfcbvre, wtedy rzeczywiście zrobiłoby się nieprzyjemnie.

Jacques znowu zaczął coś argumentować niesłyszalnym szeptem waląc pięścią w otwarty tom kazań św. Bernarda. Pomyślałam, że w tych kazaniach mogę znaleźć interesujące komentarze do symboliki nowotestamentowej. Zabrałam książkę Jacquesowi podsuwając mu pod pięść któreś z zakurzonych, pozakładanych słómkami dzieł św. Tomasza.

Św. Bernarda czyta się wspaniale. Jasność stylu, wyjaśnienie każdej alegorii i to, co tak różni dawne kazania od kazań współczesnych: skłanianie chrześcijan do pogłębienia wiary, a nie namawianie ich by zechcieli uwierzyć.

Piękny jest opis św. Bernarda dokonany przez Grzegorza z Auxerry. Opis w stylu platonizującym, pomijający indywidualne rysy a ukazujący raczej pewien wymaginowany kanon urody cielesno-duchowej: wzrost średni, sposób poruszania się godny, cera jasna, zaróżowione policzki, długa ciemna broda z szesnastoma czy dziewiętnastoma siwymi włosami. Św. Bernard mieszczący się w tym kanonie ma jeszcze jeden rys charakterystyczny: skórę tak jasną i delikatną, że widać przez nią wnętrze.

16 marca

Rano wyjątkowo długie, przymusowe wylegiwanie się w łóżku, bowiem wstając usłyszałam trzask łapki na myszy w okolicy drzwi wejściowych. Oznaczało to, że mysz została unieruchomiona w łapce już na zawsze, a ja w łóżku, aż do przyjscia Cezarego. Gdybym wstała zrobić sobie śniadanie czy próbowała wyjść z domu, byłabym zmuszona zauważyć zatrzaśniętą łapkę z jej zawartością. Cezary przyszedł po południu i uwolnił mnie od potwornej myszy. Śmiał się z mojego porannego uwięzienia i próbował udowodnić rzecz oczywistą:

- Strach ma wielkie oczy.

- I dlatego więcej widzi - odpowiedziałam inną oczywistością.

- Cóż ci zrobi taka mała myszka? Pamiętasz XVIII stopień średniowiecznej inicjacji masońskiej, będący próbą odwagi? Trzeba było mężnie znieść obecność nie smoka lub lwa, ale królika.

- Na królika też dałabym się inicjować, na myszę nie - upierałam się przy swoim.

Zjedliśmy obiadośniadanie i poszliśmy do lasu Vincennes. Był to chyba dzień przyjaźni ze zwierzętami, bo po historii z myszą wysłuchałam opowieści o owadach. Na tej samej ławce co my usiadł ojciec z synkiem. Dzieciak widząc pszczoły dopytywał się co tak bzyczy i lata. Ojciec wytłumaczył berbeciowi skąd bierze się miód, jak wygląda ul i jakże piękna jest królowa pszczół. Dziecko słuchając wyjaśnień pochyliło się nad kwiatkiem i złapało pszczołę. Naturalną kolejną rzeczą pszczoła użądliła go w rękę. Mały zaczął wrzeszczeć, a ojciec zakończył spokojnie swój ekologiczny wykład o życiu pszczół stwierdzeniem: - Widzisz Filipku a tak pszczołki gryzą.

7 kwietnia

Skończyłam pisać piąty rozdział - bardzo przyjemny temat: miłość, pocałunek, małżeństwo.

Marię-Magdalenę wydawano bardzo często za mąż. Podobno poślubiła św. Jana i Chrystus był jednym z gości zaproszonych na ich wesele w Kanie Galilejskiej. Po uczcie weselnej Jan został uczniem Mistrza i opuścił dopiero co poślubioną żonę. Porzucona Maria-Magdalena zeszła na złą drogę, ale Chrystus wiedząc, że jest pośrednio przyczyną jej upadku nie pozwolił by umarła w grzechu. Nawrócona, podobnie jak mąż, zrozumiała o ile więcej jest warte wieczne szczęście w niebie od krótkotrwałych rozkoszy małżeństwa. Tyle legenda. Katarzy wydali św. Marię-Magdalenę za mąż za Chrystusa. Nie było to małżeństwo a raczej konkubinat, bowiem katarzy uważali małżeństwo za diabelską parodię unii dusz i nie widzieli powodu, dla którego miłość cielesna w małżeństwie miałaby się czymś różnić od oddawania się rozpuście poza małżeństwem. Poglądy dość radykalne, choć konsekwentne w swym manicheizmie. Według tej koncepcji Chrystus będąc człowiekiem nie różnił się w ziemskim życiu od innych ludzi. Cała tajemnica zbawienia, zmartwychwstania i ofiary rozgrywać się miała w sferze ducha. O tym, że Chrystus i Maria-Magdalena byli „małżeństwem” wiadomo z akt inkwizycji, lecz prawdziwość zeznań złożonych pod przymusem bywa wątpliwa

Czemu dla gnostyków tak ważne było wydanie Marii-Magdaleny za mąż? Być może dlatego, że unia duszy (Maria-Magdalena symbolizowała duszę) z duchem była świętowana w czasie mistycznej nocy poślubnej. W gnozie walentyniańskiej mistyczna komnata małżeńska stanowiła symbol pełni człowieka (*Pleromy*). Połączenie się w jedność, pełnię było symbolem odrodzenia jego natury czyli powrotu m. in. do androgyniczności. Dla manichejczyków symbolem tej regeneracji był krzyż równoramienny, katarski krzyż solarny Chrystusa zmartwychwstałego.

Połączenie przeciwieństw (mistyczne małżeństwo) stanowiło warunek osiągnięcia stanu pełni, odrodzenia.

Ewangelia według Filipa:

„Misterium małżeństwa jest wielkie

Bez niego nie byłoby by świata

Istotą świata są ludzie

A istotą ludzi małżeństwo”.

W Ewangelii według Filipa Maria-Magdalena nie jest niczyją żoną, jest natomiast tą, którą „Chrystus kochał najbardziej spośród wszystkich uczniów i całował ją często w usta...”

Komentarz Orygenesisa do „Pieśni nad pieśniami”: „Oblubienica nie zadowalała się towarzystwem przyjaciół Oblubieńca. Pragnie ona usłyszeć jego głos i otrzymać pocałunek z jego ust: ‘Niech mnie ucałuje pocałunkami swych ust’”.

Św. Bernard rozróżnia w „Pieśni nad pieśniami” dwa rodzaje pocałunków; pocałunek, powiedzmy zwykły, będący *participatio* oraz pocałunek ust przeznaczony tylko dla Syna i określany jako *pleniludo* (pełnia). W Zoharze, będącym gnostycznym komentarzem Biblii, symbolika pocałunku z „Pieśni nad pieśniami” oznacza przywrócenie harmonii, połączenie w jedność tego co rozdzielone: „Słowa: ‘Niech mnie ucałuje pocałunkami swych ust!’ mają następujące znaczenie: Król Salomon pragnął unii świata górnego z dolnym. Unia dwu duchów dokonuje się w pocałunku. Jeśli dwóch ludzi całuje się w usta ich duch łączy się w jedno”.

Żeby zacytować ten fragment musiałam powołać się na Cullmanna, twierdzącego, że chrześcijaństwo w swych początkach rozwijało się nie jako odgałęzienie ortodoksyjnego judaizmu, ale jako jego gnoza.

Naturę męską symbolizuje ogień, przeciwieństwem męskości jest kobiecość symbolizowana przez wodę. Dusza i duch łącząc się znoszą dzielące je przeciwieństwa. Cytat z Ewangelii według Filipa: „Dusza i duch są zrodzone z wody i ognia”.

W hebrajskim element żeński, *nikwa* (związany z wodą) i męski, *zeker* (związany z ogniem) po połączeniu mają wartość 390. Taką samą wartość 390 ma słowo niebo, *szamaim*, będące w zapisie połączeniem ognia, *esz* i wody, *moim*. Siódme niebo, *Abaroth* (znowu siódemka) jest według Zoharu stworzone z ognia i wody.

I tak dalej w podobnym stylu.

1 lipca

Znalazłam chyba argument, dzięki któremu moja praca zatytułowana „Le personnage de Sainte Marie-Madeleine dans la gnose-judeo-chretienne” będzie miała pretekst do zaistnienia na Wydziale Antropologii Średniowiecza. Nie sądzę, żeby można udowodnić tę misternie skleconą

hipotezę, ale zaprzeczyć jej też się nie da. Wszystko zatem zostanie w sferze przypuszczeń, intuicji i wręcz nieprawdopodobnych koincydencji. Owa rewelacyjna hipoteza zostanie umieszczona w ostatnim rozdziale wieńczącym dzieło i nadającym logiczną całość poprzednim wywodom.

Naznosiłam do domu wszystkie tomu Zoharu i włożyłam do szafy na miejsce plecaka potrzebnego do podróży, w którą zdecydowaliśmy się wyruszyć. Lipcowe upały w Paryżu są nie do zniesienia.

Cezary wybrał trasę na południe, przez Tuluzę do Barcelony. Po drodze mamy zaliczyć szlak katarów. Fascynacja kataryzmem minęła mi kilka lat temu, ale Cezary chciałby swoje lektury oblec w realność pejzażu, jak poetycko udowodniał konieczność zwiedzania Montségure.

- No dobrze, wiem, że jedziemy oglądać ruiny kultury załatwionej przez cywilizację, której jesteśmy spadkobiercami i to nie jest w porządku - zaczął się tłumaczyć pochylony nad mapą. - Ale nie wiadomo jak by skończyli ci heretycy, gdyby nie zajmowała się nimi Inkwizycja. Być może, tak jak we Włoszech, gdzie nikt ich nie prześladował, wyginęliby śmiercią naturalną nie przyspieszoną energią kinetyczną emitowaną przez rozżarzone drewno. Poza tym nawet gdyby udało się im przetrwać i wygrać z katolicyzmem, to nie sądzę żeby ich cywilizacja była ciekawsza od naszej. Doskonali, doskonałymi, ale nie wszyscy byli aż tak doskonali. Społeczeństwo żyjące w grzechu, bo wszystko co dotyczyło sfery materialnej było grzeszne, rządzone przez elitę oświeconych, nie jest ciekawym modelem kultury. Nie wierzę żeby mogła się rozwijać cywilizacja, w której rodzina nie jest najważniejsza. To o rodzinie powtarzam za Hayekiem, ale mam chyba prawo jako Europejczyk powołać się na zdanie innego rozsądnego Europejczyka i w dodatku Austriaka.

Po tej przemowie mój domowy spadkobierca kultury europejskiej poszedł kupić konserwy na drogę dla swej własnej rodziny, czyli dla siebie i dla mnie.

2 lipca

W Tuluzie zaczęło się nasze powolne konanie. Upał był.....(nie do opisania).

Krążyliśmy między prysznicem a klimatyzowanymi salami kina i hotelu. O 22. temperatura nie spadła poniżej 30 stopni. W kawiarniach szumiały wentylatory, podawano zimne napoje, tłuczony lód, ale nic nie mogło znieczulić wrażenia bycia wchłanianym przez lepki żar. Współczułam bohaterom filmów w Casablance czy Nowym Orleanie, rozumiejąc dopiero teraz, że oszroniona szklanka w ich dłoniach nie była malowniczym rekwizytem, ale ostatnim ratunkiem przed wyparowaniem świadomości. Domy Tuluzy mają kolor spalonej cegły, jakby przetrwały niezliczone upały przypominające raczej pożar aniżeli kanikulę.

3 lipca

Największa katedra romańska Europy była moim największym zdziwieniem architektonicznym. Nie z tego powodu, że swoją lekkością nie przypominała siermiężnej romańskości Tumu, ale dlatego, że była niezauważalnym przejściem między wykwinnym antykiem a sztuką romańską. Patrząc na rzeźby kapiteli można było pomyśleć, że jest się w antycznej świątyni, w której przypadkiem (lub za sprawą fatum) pogańscy bogowie przebrali się za chrześcijańskich świętych. O pierwszej w nocy powiał przez Tuluzę ciepły wiatr, co ośmieliło nas do dłuższego spaceru. Krążąc powoli labiryntem zacisznych uliczek znaleźliśmy się niespodziewanie w kawiarni. Setki stolików oświetlonych lampkami i świecami ustawione na placu wielkości Rynku Krakowskiego. Tłumy ludzi, muzyka, kelnerzy tłumaczący, że ten stolik należy do ich kawiarni, ale ten obok jest już inną kawiarnią i nareszcie o trzeciej nad ranem trochę orzeźwiającego chłodu. Jedząc spóźniony obiad postanowiliśmy zmienić trasę i zamiast do Barcelony jechać prosto nad morze.

6 lipca

Montségure nie jest typową wioską - sto domów, ale większość z nich to hotele, sklepy z talizmanami i biżuterią symboliczną, księgarnie ezoteryczne. Weszliśmy do jednej z takich księgarni, o nazwie „Zaułek czasów”. Szperaliśmy wśród półek chyba godzinę wiedząc, że po tak dokładnym przejrzaniu większości książek trzeba będzie coś kupić, nie tyle dla nas co dla przyzwoitości. Wybraliśmy niedrogi, ładnie wydany Hermes Trismegistos. Właściciel księgarni mający najwyraźniej ochotę z nami porozmawiać zadał nieśmiertelne pytanie:

- Przepraszam, ale jakiej państwo są narodowości?

- *Les Polonais* - odpowiedzieliśmy magicznym słowem wzbudzającym zawsze radosne podniecenie wśród francuskich ezoteryków i francuskiego kleru. Rozumiem duchownych, Papież jest Polakiem, ale kto nam wyrobił taką dobrą opinię wśród towarzystw teozoficznych, spirytystycznych i wszystkich innych bractw przyspieszonego rozwoju duchowego na kocią łapę? Może Towiański (Nerval uważał go za geniusza) a może posiadacz licencji na Absolut, Hoene-Wroński.

I tym razem czar polskości zadziałał, pan księgarz ucieszył się - Polacy, to dobrze, to bardzo dobrze. Czy napiją się państwo mrożonej kawy, to jedyne lekarstwo na dzisiejszy upał.

Przeszliśmy na piętro, gdzie żona pana księgarza w długiej błękitnej sukni przygotowała nam kawę. Rozmawialiśmy na różne tematy, ezoteryczne oczywiście. Powiedziałam, że szukam czegoś o św. Marii-Magdalenie, ale nie interesuje mnie książka o Pistis Sophii, którą widziałam na dole w księgarni.

- Nie o Pistis Sophii - zamyślił się księgarz - a widziała pani akta inkwizycji w dziale o katarach? Zaraz je przyniosę.

Po chwili wrócił z tomem po łacinie i po francusku. Otworzył wydanie francuskie, znalazł stronę z zeznaniami traktującymi właśnie o Marii-Magdalenie.

- To powinno panią zainteresować.

Bardziej zainteresowała mnie erudycja księgarza.

- Ależ nie jestem żadnym erudyta. Siedząc w księgarni cały dzień cóż mogę innego robić, jak nie czytać? Odwiedzają nas tutaj różni ludzie, od każdego można się dowiedzieć czegoś ciekawego. 21 czerwca przyjeżdżają tłumy turystów oglądać wschód słońca w ruinach zamku. Druidzi z Francji i Anglii twierdzą, że zamek był świątynią solarną i chyba mają rację, bo w dzień letniego przesilenia widać na ścianach kaplicy świetliste okręgi. Po katarach zostały tylko ruiny, nie mogło się stać inaczej, byli za szlachetni by przetrwać na tym świecie. Wiele lat po zdobyciu Montségure, niedaleko stąd, we Foix, wpadł w ręce Inkwizycji jeden z ostatnich doskonałych. Natychmiast wszyscy okoliczni katarzy zaczęli się dobrowolnie, czym prędzej zgłaszać do Inkwizytora, bo wiadomo było, że doskonały nie może kłamać i wyjawi wszystkich zakonspirowanych współbraci.

Po odwiedzeniu księgarni poszliśmy zwiedzić ruiny zamku. W miejscu zwanym „Polem stosów” ustawiono w latach sześćdziesiątych kamień upamiętniający śmierć obrońców Montségure. Koło tego właśnie kamienia stał młody uśmiechnięty człowiek sprzedający turystom ozdobne pudełka zapalek z napisem „Pamiętka z Montsegure”.

8 lipca

Z Pirenejów zjechaliśmy nad Morze Śródziemne do Katalonii. W wiosce, w której mieszkaliśmy, wieczorem całe życie przenosiło się na ulice. Pranie, gra w karty, jedzenie kolacji czy plotkowanie, wszystko to odbywało się przed domami. Pewnego wieczoru zobaczyliśmy w opustoszałej uliczce staruszkę siedzącą na krześle przed zamkniętym oknem, tyłem do ulicy i mówiącą sama do siebie. Podeszliśmy bliżej pełni współczucia dla chorej kobiety i zobaczyliśmy, że babcia po prostu kibicuje meczowi oglądanemu przez moskitierę robiącą z daleka wrażenie zamkniętej okiennicy.

Starsi Katalończycy opowiadali nam jakieś fascynujące historie, przechodząc oczywiście z katalońskiego na francuski, ale mieli tak niesamowity akcent, że nie można było zrozumieć ich interesujących zapewne opowieści. Kiedy my w rewanżu chcieliśmy im coś opowiedzieć kiwali głowami, uśmiechali się, ale widzieliśmy, że przemawiamy językiem dla nich niezrozumiałym. Oprócz akcentu Katalonia różni się od reszty Francji rejestracjami samochodów, fryzurami męskimi à la Janosik oraz przekonaniem wynikającym z doświadczeń historycznych, że panowanie Francji

nad tym regionem jest przejściowe i niebawem Katalonia, która przeżyła w ciągu ostatnich 800 lat może pół wieku względnej suwerenności będzie znowu Katalonią Niepodległą.

9 lipca

Powrót do Paryża i decyzja, że były to ostatnie wakacje latem. Jediną rozsądną porą na odpoczynek jest zima. Michał, któremu zostawiliśmy pod opieką mieszkanie zdziwił się naszym wcześniejszym powrotem. Siedział z lekka posiniaczony, podrapany z bandażem wokół głowy, ale uśmiechnięty.

- Życie jest piękne - zaczął nas przekonywać, nie mając siły ruszyć się z kanapy by nas przywitać. - Czuję się jak nowo narodzony.

- Rzeczywiście wyglądasz na faceta po porodzie kleszczowym - skomentował tę deklarację Cezary pokazując palcem biały zawój na głowie Michała.

- Eeee tam, to nic. Najważniejsze, że od wczoraj nie jestem Polakiem. Odciałem pępowinę. Żegnaj była ojczyzno, rany na głowie to drobiazg.

- Co, byłeś na Cité i dostałeś już francuski paszport? - zdziwiłam się znając niechęć Michała do wszelkich urzędów.

- Ja Francuzem? - oburzył się. - W życiu przez gardło by mi nie przeszła Marsylianka.

- Ożeniłeś się z An albo jakąś inną Holenderką - próbowałam zgadnąć.

- A co to już tak zbrzydłem i sparszywiałem żeby się żenić? - zwałił Michał. - Nic z tych rzeczy. Po prostu przestałem się czuć Polakiem i kwita. Gdybym miał jeszcze polski paszport spuściłbym go Sekwaną. Zawsze podejrzewałem, że między Polską a mną jest coś nie tak, ale wczoraj przebrała się miarka. Byłem na imprezie z Polakami, którzy przyjechali do Paryża zarobić na tapetowaniu, remontach i czym się da. Piliśmy długo a przeciągle, śpiewając rzewne pieśni. O północy trzech chłopaków wyprężyło się na baczność i wrzeszczą jak na dobranockę w telewizji polskiej: Jeszcze Polska nie zginieeela! Ja nic, zęby zacisnąłem i czekam kiedy skończą. Wszyscy oprócz mnie stoją i drą się: za twoim przewodem złączym się z narodem.

Skończyli wreszcie i pytają czemu z nimi hymnu nie odśpiewałem. Zamiast się zamknąć zacząłem udowadniać, że hymn nasz jest fatalny. Od dwustu lat nic dobrego się Polsce nie przytrafiło, bo i nie mogło, skoro dał nam przykład Bonaparte jak zwyciężać mamy. Pod Waterloo, pod Berezyną czy na Elbie, ja się pytam, no gdzie ten przykład? I co to za hymn zaczynający się desperacko od „Jeszcze Polska nie zginęła”? Ginie, ginie i zginąć ani wyżyć nie może. Trzeba zmienić hymn bo źle skończymy.

Faceci pokiwali głowami, nastroszyli się i mówią, że ja nie Polak, bo hymn obrażam. Tłumaczyłem im, że „Bogurodzica Dziewica, Bogiem sławiona Maryja” była piękną pieśnią, pełną siły i dostojeństwa, łączyła nas z całą rycerską Europą i chrześcijańskim Zachodem. Tradycja

panowie! Zresztą najlepszy dowód, że mam rację - od przedszkola śpiewają Jeszcze Polska i co ich dobrego spotkało? Z Polski, która jeszcze nie zginęła przyjeżdżają tutaj, żeby na chleb zarobić czarną robotą panowie dziennikarze, radni narodowi i inżynierowie. Mogłem tego nie mówić. Rzucili się na mnie, że Polska w nieszczęściu, że komunistów pokonała, że Papież Polak a ja nie Polak. Za drzwi mnie wyrzucili. Potem niewiele pamiętam, bo wyleciałem na schody z prawie pełną żytniówką. Rano znalazłem się w domu. Koniec z Polską. W każdym kościele gotyckim czuję się jak u siebie. Moją ojczyzną jest gotyk, barok.

- A moją barak - skostatował Cezary rozglądając się po brudnych ścianach.

- Kto cię tak ładnie zabandażował i zaplastrował, mój ty renegacie - spytałam.

- Tylko nie renegacie. Wy też już dla tych facetów z wczorajszej imprezy nie bylibyście Polakami. W Polsce tygodnia byście nie wytrzymali. Zobaczcie gazety stamtąd - hipokryzja i szlachetne bzdury w sosie pseudokapitalizmu. Wszyscy tam są przekonani, że muszą żyć w biedzie, takie są bowiem prawa ekonomiczne. Gdyby ten naród nie był tak ogłupiany i nie żył ciągle w obawie - a co na to powie Zachód, który ma Polskę serdecznie gdzieś i gdyby ten naród nie bał się wiecznie, że mateńka Rosja da mu po łapach. Oni przestają myśleć. Myśli za nich, ale nie dla nich gazeta, pseudopolityk, facet jawiemlepiej i... - Michał przerwał sam sobie mówiąc - Szkoda sił na gadanie, a rany opatrzyła mi wasza znajoma Sabina.

- Nie przypominam sobie żadnej Sabiny, może to twoja znajoma - popatrzyłam podejrzliwie na Cezarego.

- Sabina? Nie znam. - zapewnił mój szlachetny mąż.

- Przyjechała tu para, Sabina i Kord. Mówili w tym samym języku, co kapitan Kloss: Ich ne parle pas deutsch, ani po angielsku. Oni nie mówili po francusku, ale fajni ludzie. Mieli tylko świra na punkcie zdrowej żywności. Przez cały tydzień jedli wyłącznie zdrowe paskudztwa i parzyli sobie ziołowe herbatki ze źródlanej wody. Przywieźli ze sobą 50 kilo zdrowej marchwi i kukurydzy. Gdy jadłem mięso, patrzyli na mnie jak na barbarzyńcę. Dość miałem tej stołówki dla dietetyków. Spiłem ich zdrową żytnią tak dokładnie, że następnego dnia z przyjemnością wtrajali fasolkę po bretońsku z baraniną i to nie kupioną w zdrowym sklepie, ale naprzeciwno u Araba. Najbardziej było mi żal ich wilczura, który też oczywiście musiał przejść na jarską kuchnię, by nie okazać się mniej szlachetnym od swoich właścicieli. Dokarmiałem go po kryjomu kiełbasą i pies nie chciał odejść ode mnie na krok. Kiedy wyjeżdżali, dwie godziny przed waszym przyjazdem, psina wyła z żalu. Pytali się, co z waszym wilczurem, bo ten ich to była chyba muter waszego.

- Nigdy nie mieliśmy psa ani znajomej Sabiny czy Korda - coraz mniej rozumiałem opowieść Michała. Cezary przestał wypakowywać plecak, pomedytował chwilę i wyjaśnił tajemnicę pobytu Teutonów w naszym studio:

- My nie mamy psa, ale poprzedni lokatorzy mieli młodego owczarka alzackiego. Najwidoczniej Sabina i Kord nie wiedzieli nic o ich przeprowadzce i przyjechali w odwiedziny.

Michał wypił przed wyjściem poobiednią herbatę, która przeszła w wieczorną kawę. Znącał się nad tomikiem wierszy przysłanym z Polski.

- O, kolejny poeta chrześcijański. Znam człowieka, metafizyczna pustka. Pewnie, że ładnie wygląda w wierszu modlitwa, krzyż, aluzje do przeżyć mistycznych, ale od razu poeta chrześcijański? Łatwo być poetą chrześcijańskim nie będąc w ogóle wierzącym, zwłaszcza w Polsce, gdzie łączy sentyment wygrzyzł przeżycia religijne. Ale nie mnie sądzić z belką w oku - skrygował się Michał w okolicy trzeciej nad ranem.

10 lipca

Pisząc o Marii-Magdalenie muszę zadawać ciągle pytanie: dlaczego? Dlaczego była ona ulubioną postacią gnostyków. Dlaczego była symbolem duszy? Dlaczego, dlaczego do każdego faktu, do każdej interpretacji.

Dlaczego kult Marii-Magdaleny rozwinął się tak gwałtownie na południu Francji między XI a XIII wiekiem? Dlaczego właśnie w tym czasie i w tym miejscu? Odpowiedź może być prosta: Wyprawy krzyżowe, pielgrzymki do Grobu Świętego. Rycerstwo francuskie najliczniej brało udział w obronie Ziemi Świętej, a Maria-Magdalena była ich patronką, jako że pierwsza przybyła do Grobu Pana - tak mniej więcej tłumaczy się tę nagłą popularność Magdaleny. Z jej to powodu wybuchł spór między Cystersami z Vezelay przechowującymi w swym opactwie relikwie świętej a mnichami z Prowansji twierdzącymi, że w krypcie ich kościoła Saint-Maxime Maria-Magdalena znalazła wieczny spoczynek. Król i biskupi, po przestudiowaniu dokumentów i ekshumacji domniemanych szczątków świętej, przyznali rację mnichom z Prowansji.

Spróbujmy zapomnieć o przekonywujących argumentach tłumaczących rozwój kultu Marii-Magdaleny w czasach rycerskich wypraw w obronie Ziemi Świętej. Cóż jeszcze wydarzyło się ówczesnie na południu Francji?

Pojawili się katarzy, nie będący bynajmniej ortodoksyjnymi katolikami. Na południu Francji rozwija się pod wpływem m. in. niemieckiego chasydyzmu kabalistyka nie będąca ortodoksyjnym judaizmem. Gerschom Scholem pisze, że „...pojawienie się idei migracji dusz w kabale nastąpiło w tej samej epoce i na tych samych terenach (południowa Francja), gdzie ruch katarski osiągnął największe sukcesy”.

Przekonanie o wzajemnym wpływie ruchów gnostycznych nie wystarczy, by udowodnić, iż rozwój kultu Marii-Magdaleny miał z nimi jakiś związek. Trzeba to przekonanie uczynić bardziej przekonywującym. Sądzę, że można się w tym celu posłużyć dwoma tropami, będącymi w zasadzie jednym, ale podzielmy go dla ułatwienia na: 1. Trop kabalistyczny i 2. Trop chasydzki.

Trop kabalistyczny:

Zarówno w ortodoksyjnym chrześcijaństwie, jak i w judaizmie Bóg pozbawiony jest jakichkolwiek elementów natury żeńskiej. Natomiast w gnozie chrześcijańskiej, np. w „Kazaniach Piotra” (II-III wiek) Bóg ma stronę lewą i prawą, żeńską i męską. W gnozie judaistycznej koncepcja dualizmu natury Boga pojawia się dopiero w XII wieku, dokładnie w księdze Bahir wydanej po raz pierwszy w Prowansji. Wątek ten rozwinięty zostanie w Zoharze, którego pierwsze wydanie miało miejsce w Kastylii w roku 1275. Scholem pisze o misterium płci, że „takie, jakie ono się pojawia w kabalistyce ma znaczenie symboliczne: miłości pomiędzy „Ja” i „Ty” Boga. Pomiedzy Świętym, niech błogosławione będzie Jego Imię, a Szekiną. Jest to święty związek Króla i Królowej. Oblubieńca i Oblubienicy Niebiańskiej”. Koncepcja boskiej hierogamii była główną przyczyną odrzucenia kabalistyki przez ortodoksyjny judaizm. Według Scholema przypisywanie przez kabalistów rodzaju żeńskiego Szekinie wynika z tego, że ostatni sefirot (*Malkuth*, Królowa) był tym, który niejako przyjmuje w siebie inne sefiroty, znajdujące w nim spoczynek. Drzewo sefirotów można wpisać w schemat ciała ludzkiego i wtedy *Malkuth* jest odpowiednikiem stóp. Związek postaci Marii-Magdaleny z symboliką stóp wyjaśniłam w pierwszym rozdziale.

Symboliczne ciało Szekiny, poprzez które działa ona i cierpi razem z Izraelem jest odpowiednikiem tego, co w chrześcijaństwie nazywa się Eklezją (*Corpus Christi*). W katedrze w Chartres można zobaczyć dość oryginalne wyobrażenie Eklezji - jako świętej Marii-Magdaleny.

W książce Scholema komentującej Zohar znalazłam bardzo ciekawe zdanie: „Szekina będąca „kobiecością” jest przede wszystkim partnerką boskiego *hieros gamos (ziwwuga kadisha)*, w której realizują się wszystkie moce boskie poprzez unię natury męskiej z żeńską”. Szekina czyli wieczna kobiecość będąca konieczna w rozwoju świata, odsyła nas do archetypu Bogini Matki i Heleny symbolizującej wieczną kobiecość.

Skoro w określeniu Szekiny pojawia się słowo *kadisha (ziwwuga kadisha)*, powinna ona mieć oprócz dobrej strony także aspekt negatywny. I rzeczywiście, w Zoharze Szekina znajduje się w sferze wpływów demonicznych. Jej władza rozciąga się nad drzewem dobra i zła, będącym zarazem drzewem śmierci. Czyż takie wyobrażenie Szekiny nie nasuwa skojarzenia z Ewą zrywającą owoce z drzewa dobra i zła (w konsekwencji z drzewa śmierci) i Marią-Magdaleną stojącą u stóp Krzyża (symbolu śmierci), który stał się znowu drzewem Życia. Szekina ma zatem dwa aspekty, pierwszy pozytywny - mówi się o niej jako o mądrości Salomona i negatywny - demoniczna ladacznica o kruczoczarnych włosach, bestia, której „nic nie umknie spod jej władzy”.

Czy mógł istnieć jakiś związek między pojawieniem się w gnozie żydowskiej koncepcji „żeńskiej strony” Boga a rozwojem kultu Marii-Magdaleny na tych właśnie terenach i w tym samym czasie, w którym pojawiła się kabalistyka? Maria-Magdalena uosabiająca wieczną

kobiecość, duszę jednoczącą się w nocach mistycznych z duchem, by osiągnąć pełnię Jedności i nawróconą ladacznicę. Być może jest to przypadek, podobnie jak trop drugi:

11 lipca

Mieszkanie nasze oprócz wielu mysich dziur kryło przed nami także inne tajemnice. Wiedzieliśmy o grzybie, który zimą załagał się w łazience pozbawionej sufitu. Wiosną grzyb zaróżowił się, spurpurowiał i pięknie rozplecił. Latem rozgrzany słońcem jakby zmarniał i zapyział, ale było to pozorne zanikanie flory w naszej łazience. Po odpadnięciu od ściany umywalki (sama odpadła pewnej nocy) zobaczyliśmy, że kryła za sobą wspaniałą zielony mech, ładniejszy nawet od dziko rosnącego w lesie. W tym samym czasie nasiliły się mysie galopady. Kupiliśmy łapki, truciznę, maszynę emitującą ultradźwięki zabójcze dla gryzoni, naftalinę - podobno myszy nie znoszą jej zapachu. Niestety wszystko na próżno; gryzoniom naftalina zupełnie nie przeszkadzała. Maszyna robiła regularnie bip bip i myszy harcowały w takt tej mysiej dyskoteki, mech przytulnie szumiał, grzyb pęczniał.

Zauważyłam, że u sąsiada naprzeciwko myszy wygryzły w drzwiach olbrzymią dziurę. Zapukałam do niego, żeby się dowiedzieć jak je tępi. Otworzył uśmiechnięty Chińczyk:

- Jaka myszy? Jaka myszy? U mnie nie być żadna myszy - uprzejmie poinformował.

Opowiedziałam wieczorem Cezaremu o rozmowie z Chińczykiem. Cezary nie wnikał w to, czy sąsiad hoduje myszy w celach kulinarnych, czy też cierpi na niedowład wzroku i słuchu. Zdecydował przeprowadzkę. Na razie do mieszkania znajomych wyjeżdżających na wakacje, a potem zobaczymy.

11 lipca

Trop chasydzki: Średniowieczny chasydyzm I niemiecki rozwijał się dosyć krótko, bo pomiędzy rokiem 1150 a 1250. Od początku XIII wieku podobne ruchy mistyczne pojawiają się we Francji i Hiszpanii. To, co wyróżniało metodę chasydzką (kabalistyczną) spośród podobnych tradycji żydowskich, to bardzo ściśle praktykowanie pokuty. Pokuty rozumianej jako oczyszczanie ciała, gdyż ciało jest symbolem tego, co duchowe. Według tej metody, by osiągnąć unię z Bogiem, należy wycofać się w odosobnienie, najlepiej do opuszczonego domu, gdzie nie dochodzą żadne hałasy z zewnątrz. Następnie zalecało się śpiewanie psalmów, czytanie Tory aż do osiągnięcia stanu ekstazy - czyli wzniesienia duszy do Boga.

Tę średniowieczną pokutę chasydów określano hebrajskim słowem *teshuva*. Czy istnieje jakieś podobieństwo pomiędzy drogą mistyczną kabalistów a symboliką postaci Marii-Magdaleny? Według legendy Magdalena żyła 30 lat w miejscu odosobnionym, niemal pustynnym. Kilka razy

dziennie zapadała w mistyczną ekstazę słuchając pieśni aniołów. Postać Marii-Magdaleny najlepiej uosabia idealną pokutę - ciągle umartwienia i „zalewanie się łzami żalu”

W Zoharze wszystkie drogi do Boga są zamknięte dla grzesznika oprócz tej jednej, drogi łez.

Bonnet znalazł bardzo ładną analogię: „Co to jest ‘nawrócenie’ (konwersja)? Słowo to pochodzi z łaciny - *versor*, ‘odwrócić’. W języku hebrajskim nawrócenie znaczy *teshuvah*, od słowa *shuv* (odwrócić). Jezus ‘się odwraca’ wiele razy w swoich spotkaniach z pierwszymi uczniami i w obecności Jana Chrzciciela. Jest to ten sam gest powtórzony przez Marię-Magdalenę, kiedy ukazał jej się Jezus Zmartwychwstały”.

Wyniszczona pokutą Maria-Magdalena, zapatrzona w niewidzialne, jak przedstawia ją rzeźba Donatella. Maria-Magdalena, chrześcijański wzór pokuty. Czy znowu ta zbieżność miejsca i czasu rozwoju kultu Marii-Magdaleny i *teshuvah* chasydów, kabalistów jest przypadkowa? Tak, jest to przypadek, ale wszystko jest przypadkiem.

12 lipca

Skończone przepisywanie, poprawianie. Zostało mi jeszcze wyprasowanie skromnej sukienki z białym kołnierzykiem, odszukanie nie noszonych od pół roku okularów i pójście na spotkanie z promotorem.

- Panie profesorze, bardzo przepraszam, że w czasie roku szkolnego nie przychodziłam na konsultacje, ale co kilka dni znajdowałam nowe fakty i nie byłam pewna, czy skończę pisanie.

Profesor przeczytał tytuł pracy, uśmiechnął się.

- Ależ proszę pani, ja już jestem przyzwyczajony do takiego prowadzenia się studentów. Na dziesięć osób z seminarium tylko jedna przychodziła do mnie na konsultacje i to wyłącznie dlatego, że pisała dyplom z symboliki Rąbana Maura. Wszyscy inni, tak jak pani, przynoszą mi w czerwcu gotowe prace, zresztą bardzo interesujące. Ale ja nie jestem kimś aż tak bardzo strasznym, by unikać mnie przez cały rok. Profesor jest człowiekiem czyli istotą społeczną i chętnie poszedłby ze studentami na kawę, porozmawiał, doradził. Ciekawi mnie jak każdy seminarzysta pisze swój dyplom. Pani też pewnie by chciała znać jak najszybciej moją ocenę?

- Gdyby pan profesor miał czas i przejrzał te kilka rozdziałów.

- Ech, młodość, niecierpliwa młodość, proszę mi podyktować swój numer telefonu.

Po wyjściu z gabinetu zaczęły się dla mnie tortury oczekiwania. Przypominały mi się szczegóły, które powinnam była umieścić w przypisach. Pewne zdania były stanowczo niedokładne, w ogóle napisałabym całość od nowa. Na szczęście musiałam zająć się przeprowadzką i rozważania, czy rozdział piąty powinien poprzedzać szósty zastąpił mi problem, jak posprzątać opuszczane mieszkanie poświęcając tej czynności jak najmniej siły i czasu.

Wchodząc w bramę mego byłego prawie domu zobaczyłam zaprzyjaźnionego kloszarda, który nie pojawiał się na swym posterunku już od kilku tygodni. Był to kloszard z godnością, nie żądał co łaska, ale według taryfy: trzy franki na bagietkę. Kiedy przechodnie nie rzucali mu ani grosza do kapelusza wymawiając się brakiem pieniędzy, kloszard oferował im pożyczkę:

- Dam panu dziesiątkę, jak pan już będzie miał forszę, to pan mi zwróci, ja tu ciągle siedzę.

Na co dzień kloszard przesiadywał na rogu naszego domu i kościoła popijając wino z plastikowej beczki, zagryzając bagietką, pomarańczami lub bananem. W niedzielę, gdy parafianie sypnęli szczerze frankami, kupował sobie wino w butelce. Jeśli nie był całkiem pijany i nie zasypiał oparty o mur, można było pomyśleć, że ów siwowłosy, brodaty starzec wygrzewa się dla przyjemności w promieniach paryskiego słońca. Co kilka dni dawał mi pięć franków, żebym mu kupiła galoisy bez filtra w tabacu naprzeciwno, bo on mógłby pójść i kupić sam, ale nie chce opuszczać swego miejsca pracy.

Po parotygodniowej nieobecności wydał mi się bardzo zaniedbany i wychudły.

- Dzień dobry, co tak długo pana nie było? Wakacje?

- Na wakacje do Pana Boga bilet dostałem, kuszetką. Ale poczekam sobie, jeszcze nie tego lata. Pani popatrz - pokazał na zabandażowane nogi - stopy mi się spaliły.

Dopiero wtedy spostrzegłam kule oparte o ścianę.

- Przechodziłem w metrze spać, ciemno było, nadepnałem na prąd, że mi serce nie wysiadło lekarze się dziwili. Trzy tygodnie w szpitalu leżałem. Całe dni pod kościołem siedzę, to i za pobożność ten cud, że żyję.

Porozmawialiśmy o wypadkach, chorobach, cudownych uzdrowieniach. Po raz pierwszy kloszard opowiedział coś ze swojego życia, zrywając ze zwyczajowym tu i teraz. W młodości mieszkał we Włoszech: plaża, nocą muzyka, wino, dużo wina i Włosi tacy weseli, a kobiety piękne, najpiękniejsze. Potem podróżował po Europie i mieszkał prawie dziesięć lat koło Toledo. W Hiszpanii zafascynowało go coś, czego nawet w Paryżu nie ma.

- Niech pani sobie wyobrazi, wagony tam jeżdżą jak w metrze, ale nie pod ziemią, a na ulicy. Jeżdżą po szynach, mają koła z metalu. Nad wagonami są druty elektryczne, i ten pojazd nazywa się - kloszard zrobił tajemniczą minę - tramwaj.

13 lipca

Mieszkamy tuż koło Moulin Rouge, metro Blanche, ulica Blanche. Stara paryska kamienica z podwórkiem studnią. Pierwsza noc minęła ciekawie. Najpierw pojawiło się coś na kształt burzy; kilka błyskawic, odrobina deszczu. Zrobiło się jeszcze parniej i duszno. Wszystkie okna otwarte, hałasy, śpiewy z innych mieszkań. Próbowaliśmy zasnąć, ale z któregoś z okien rozległy się rozpaczliwe, kobiece krzyki. Po chwili lamentowanie przeszło w głośne westchnienia: *oh, oh, ah,*

ooh oui. Najwidoczniej jakaś para kochała się i sprawiało im to dużą przyjemność. Mniej ucieszeni byli lokatorzy wychylający się z okien i wrzeszczący, nie wiedząc dokładnie do kogo:

- Dość tego! Zamknij się!

Inni mieszkańcy wydawali się być zachwyceni, klaskali krzycząc:

- Brawo! Jeszcze! *Vive l'amour!*

Panienka z okna nad nami zaśmiewała się, wołając:

- Ja też tak chcę!

Nawoływania, śmiechy, trzaskania okiennicami, lamenty potrwały jeszcze trochę, zaczęło świtać i obudziliśmy się w rocznicę rewolucji francuskiej.

14 lipca

Mimo turystów Paryż, jak co roku, tego dnia jest pusty. Zamknięte okna, zwinięte rolety, nieczynne sklepy. Od placu Denfert Rochereau w stronę stacji Saint Jacques posuwa się ponuro milcząca manifestacja anarchistów. Starcy z rozwianym romantycznie włosiem, potargani młodzieńcy, bardzo ładne dziewczyny. Ciszę przerywa regularny brzęk szkła. Anarchiści systematycznie, bez złości czy agresji, po prostu jakby wykonywali żmudny obowiązek, kasują łomami wszystkie znajdujące się na drodze ich marszu szyby wystawowe. Policja zniknęła, by nie przeszkadzać ludowi paryskiemu w świętowaniu rewolucji. Po dojściu do Saint Jacques anarchiści postanawiają zdobyć więzienie. Jest to rzeczywiście czyn bohaterski, przerastający odwagą i rozmachem zdobycie Bastylji. No bo i cóż takiego dokonał lud paryski 14 lipca 1789 roku? Oswobodził sześciu więźniów i to nie więźniów politycznych, a czterech pospolitych kryminalistów, jednego księdza i markiza.

Anarchiści nie zdobyli więzienia przy Saint Jacques, widocznie siły porządku Piątej Republiki okazały się silniejsze od *régime 'u* monarchii.

22 lipca

Po raz setny chyba oprowadzam znajomych z Polski po Paryżu. Luwr, Montmartre, Plac Pigalle. Proszę wycieczki, jesteśmy w Paryżu, mieście położonym na siedmiu wzgórzach. Jeśli się przyjrzeć mapie Paryża, widać, że stolica Francji budowana była na planie krzyża. Jego oś pozioma, wschodnio-zachodnia pokrywa się mniej więcej z dzisiejszą linią metra łączącą Château Vincennes z Placem Gwiazdy. Sekwana płynąca przez Paryż ze wschodu na zachód, odchyła się od tej osi o kąt 26°. Liczba interesująca, bowiem 26 jest geometryczną wartością niewypowiadalnego Imienia Boga. Owo odchylenie biegu Sekwany było wykorzystane przez średniowiecznych masonów do

wzbogacenia symboliki Notre-Dame, ale o tym opowiem, gdy będziemy zwiedzać Katedrę. Oś pionowa, północno-południowa odpowiada linii metra B.

Jak wszystkim wiadomo, Sekwana jest rzeką, więc płynie w niej woda. Z czym kojarzyła się ludziom średniowiecza woda? Woda życia, woda przemieniona przez Chrystusa w wino na uczcie w Kanie Galilejskiej. Skoro wody Sekwany tworzą poziomą oś miasta, oś pionowa mogłaby przypominać o cudownym przemienieniu wody w wino. Trudno byłoby stworzyć rzekę wina, ale w mieście koryto rzeki można porównać do ulicy zasilanej strumykiem uliczek i ścieżek. Dlatego też wytyczono ulicę prostopadłą do Sekwany, poświęconą bogu wina czyli Dionizosowi. We wczesnochrześcijańskim świecie ochrzczony Dionizos stał się Dionizym czy Denisem, którego ulica - Saint Denis nie cieszy się w dzisiejszym Paryżu dobrą sławą, bowiem mimo upływu wieków zachowała coś z atmosfery bachanaliów.

Jeżeli ulica Saint Denis kojarzyć by się miała z winem, to musiała powstać prostopadle do niej, by zachować plan krzyża, ulica przypominająca, że w czasie Ostatniej Wieczery Chrystus nie tylko pił z uczniami wino, ale i łamał się z nimi chlebem. I tak powstała ulica, może nie dosłownie chleba, lecz patrona piekarzy - ulica Saint Honore.

Poziome ramiona krzyża, na planie którego założono Paryż, wyznaczają miejsca, w których 2 lutego i 11 listopada wschodzi Słońce, a 8 maja i 6 sierpnia zachodzi. W te dni obchodzi się święto Ofiarowania Chrystusa w Świątyni, świętego Marcina ewangelizatora Galów, święto Michała Archanioła, święto Przemienienia.

Siedem wzgórz, 26 stopniowy kąt pomiędzy Sekwaną a wschodnio-zachodnią orientacją miasta, 11 listopada 1918, 8 maja 1945, 6 sierpnia - dzień zdobycia przez Joannę d'Arc Orleanu, wszystkie te fakty świadczą o tym, że Paryż był predestynowany do bycia stolicą Francji.

Oprowadzając wycieczkę po najnowocześniejszej dzielnicy Paryża - La Défense, opowiadam o ukaraniu pychy ludzi nie zważających na świętą geografie Paryża i usiłujących wznosić wieże „sięgające szczytem nieba” poza granicami miasta, jeszcze dalej na zachód niż tam, gdzie sięga Kraina Zmarłych czyli Pola Elizejskie. La Défense okazała się przedsięwzięciem chybionym, gdyż już po pierwszym roku budowy stało się jasne, że nigdy nie dorówna Manhattanowi, na wzór którego ją projektowano, z prostego powodu - nie wzięto pod uwagę, że La Défense położona jest na bagnach.

Według tradycji świętej geografii figury królów i świętych powinny być skierowane twarzą w kierunku wschodzącego Słońca. W wschodnią stronę spoglądają ze swych kolumn święty Ludwik i Filip August na Placu Nation. Natomiast Geniusz Wolności (będący w rzeczywistości uskrzydłym Hermesem), górujący nad Placem Bastylli, patrzy na zachód. Zachód w świętej geografii oznacza kierunek upadku i dekadencji, od *occidere* - upadać. Hermès pojawia się także na początku historii Paryża. Na wzgórzu Hermesa czyli dzisiejszym Montmartrze dekapitowano

świętego Denisa, a według legendy święty został zgładzony mieczem dokładnie pod figurą Hermesa.

Kończąc zwiedzanie Paryża na Placu Concorde, wspominam o monarchii francuskiej trwającej 1312 lat (wliczając w to okres Restauracji). W roku 1312 Filip piękny zniszczył Zakon Templariuszy, zakon, którego ostatni mistrz umierając na stosie przeklął królów francuskich.

Wracam do domu zatłoczonym metrem. Wspinając się po schodach usłyszałam odgłosy imprezy w pełnym rozkwicie. Drzwi otworzył mi Jacques, zapraszając serdecznie do środka. Przy stole zastawionym wyłącznie butelkami szampana siedział Michał z nową, japońską narzeczoną. Od czasu, gdy przestał się czuć Polakiem a następnie Europejczykiem, zagustował w urodzie Dalekiego Wschodu. Cezary nalał mi lampkę szampana i wznosił dość ogólny toast - Na zdrowie!

Próbowałam się dowiedzieć, z jakiej okazji mamy imprezę.

- Wielkie święto - zapewniał mnie Jacques.

- Ale jakie święto? - chciałam wiedzieć dokładnie.

- Jak jeszcze wypijesz, to ci powiemy - obiecał Cezary.

Przełknęłam kolejną lampkę szampana o zapachu drożdży.

- Nie mogę, szampan jest ohydny.

Michał oburzył się - Bluźnierstwo! Słowianom szampan zawsze nie smakował, a co gorsza szkodził. Taki Idiota Dostojewskiego na przykład, książkę, ale słowiański książkę, dostawał po francuskim szampanie ataku epilepsji, a ja piję szampanskoje butelkami i nic mi nie jest - pochwalił się Michał. Cezary widząc, że więcej nie wypiję, postanowił wyjawic tajemniczą przyczynę imprezy. Wstał, postukał kieliszkiem w stół - Panowie, cisza, silencium Jacques. Niech biedna kobieta pozna całą prawdę. Dzwonił twój profesor.

- Nie? - wykrztusiłam.

- Co, nie? Dzwonił i powiedział, i powiedział... że akceptuje twoją pracę, dużo się z niej dowiedział i będzie cię bronił przed komisją. Załączył też życzenia wesołych wakacji.

Cezary wziął mnie na ręce.

- Hurra! Do łazienki, ocucić! Jacques odkręcił prysznic, wołając:

- *Douche! Douche!*

Za oknem znów rozległy się lamenty - *Oh, ah, oui* - i krzyki kibiców - Brawo! *Vive l'amour!*

22 VII, Święto Marii-Magdaleny